Rok I. We Lwowie. Dnia 10. Marca 1894. Nr. 5.

SŁOWO POLSKIE

DWUTYGODNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, POLITYCE, LITERATURZE I SZTUCE.

Prenumerata we Lwowie:			Prenumerata z przesyłką:		
rocznie	12 koron	(6 złr. — ct.)	rocznie	13 koron — ct.	(6 złr. 50 ct.)
półrocznie	6 „	(3 „ — „)	półrocznie . . .	6 „ 30 „	(3 „ 30 „)
kwartalnie	3 „	(1 „ 50 „)	kwartalnie . .	3 „ 15 „	(1 „ 65 „)

Cena jednego numeru 30 ct.

Prenumerować można w Administracyi pisma, w Biurach Dzienników oraz we wszystkich księgarniach lwowskich i prowincyonalnych.

Redakcya i Administracya mieści się przy ulicy Kopernika l. 6.

Więcej ruchu!...

Nie liczę wcale na to, aby któreś pismo »kierujące« opinią naszą publiczną raczyło powtórzyć uwagi, jakie skreślić zamierzam, nie mam nawet pewności, czy kilkuset łaskawych czytelników *Słowa polskiego* przeczyta od deski do deski mój artykulik, zgoła zaś powątpiewam, aby słowa moje trwalsze wywarły wrażenie tam, gdziebym tego pragnął — a jednak, jednak próbuję szczęścia i piszę.

Najgorszym jest początek. Chciałbym napisać kilka słów *pro domo sua* a z góry już przeczuwam, że posądzą mnie albo o chęć reklamy pisma, do którego redakcyi należę, albo też dojrzą w mych słowach zawiść dla mocniejszych i bogatszych.

Ale mniejsza o to. Zacząłem, trzeba brnąć dalej. Krytykowanie i podejrzywanie szczerości czyichkolwiek słów stało się formalną manią ostatniej doby i na to narazić się muszę. Przykład zaś na własnej skórze zbyt jest wymownym i nęcącym, abym miał go porzucić.

Przed niedawnymi czasy — dwa miesiące dopiero dzieli nas od tej chwili — zebrało się grono ludzi, które sobie powiedziało: jest nas kilkunastu piszących jako tako, mamy wytknięty cel, chcemy pracować dla naszego społeczeństwa, złączmy nasze siły i pracujmy wspólnie pod jednym sztandarem. Zgodziliśmy się i w ślad za tem powstało *Słowo Polskie.*

Między słowem a czynem nie było lat przygotowań, nie było obietnic wielemówiących, a rozmiary pisma i dobór artykułów świadczyły i świadczą o tem, że to praca bądź co bądź uczciwa i poważna.

Oczywista, myślisz życzliwy czytelniku, ogół ucieszył się widokiem *Słowa Polskiego*: Dla literatury ojczystej przybywa nowe pismo i gronko piszących, dla pracy narodowej i społecznej gronko pracujących! Wszędzie mówią o nowem piśmie, jego kierunku, zaletach i usterkach; zaciekawienie ogólne, koledzy piszący zapełniają szpalty sprawozdaniami, spieszą z poparciem pismu, księgarze ubiegają się na wyścigi o względy, wystawiają setki egzemplarzy za witryny, abonenci zalewają administracyę.

Takby być mogło. Tymczasem jednak jest to sobie prosta fantazya.

Na kilka dni przed wyjściem pierwszego numeru, kiedy jeszcze *Słowo Polskie* nie istniało, i mieliśmy zamiar pismo nasze nazwać skromnie *Kroniką polską* lub *Głosem polskim,* słyszeliśmy taką opinię: Kronika, ale cóż to za archaiczny tytuł! to nie ma sensu, to nie możliwe! Czyż wy tylko chcecie regestrować fakty? a zresztą kronika to wyraz obcy. *Głos* przecież już jest w Warszawie, po co także narażać się na zestawienie z *Wolnym Głosem,* czy też z tym antysemickim

Głosem Narodu? — Za wiele już tych *Głosów*, dajcie spokój.

Ustąpiliśmy — wyszło *Słowo Polskie* i oto usłyszeliśmy znowu: Na co też wy liczycie? Kto to czyta dwutygodnik? Co to za program: stanowisko »ogólno-polskie«. Przecież każda nasza gazeta codzienna stoi na stanowisku ogólno-polskiem. Po co taki długi wiersz daliście do pierwszego numeru, to każdego odstraszy. Stanowczo o teatrze za wiele, itd. itd.

To były głosy prywatne kilku najżyczliwszych. Po za tem absolutna cisza: Ani w salonach nikt się nie odezwał, ani też żaden z kolegów po piórze nie napisał dwudziestu wierszy o nowem piśmie, jego kierunku i treści.

Upłynęły dwa miesiące, ukazał się kolejno numer drugi i trzeci i czwarty, a ciszę zaledwie jedna drobna jakaś wzmianka przerwała.

Więc dobrze. Praca nasza nie ma sensu, jest bez wartości, licha, zła, przewrotna, — społeczeństwo winno się od nas odwrócić.

Czy tak? — Znowu brak odpowiedzi. Nic i nic.

Otóż stanąłem. Skończyłem *pro domo mea* i śmiem ciebie jeszcze potrudzić, czytelniku. Trud byłby nie mały, gdybym chciał cię poprowadzić po bezdrożach fantastycznej myśli mojej. Ale nie bój się, rzucę tylko kilka pytań. Czem też interesuje się nasze społeczeństwo w dobie dzisiejszej?

Czy drogą mu ziemia ojczysta? Spytaj, ilu przebyło choćby Galicyę od końca do końca, ilu oglądało szczyty Tatr lub dno Wieliczki? Spytaj też, kto był raz w życiu w Warszawie, Wilnie, Poznaniu, Kijowie.

Może nas nęci literatura ta lżejsza, łatwiejsza, poczytna? Spytaj, kto czytał *Dwa bieguny, Mechesów, Pająki* itd., spytaj nawet, czy wielu wie, kto jest autorem tych powieści. A może ci droższą jest poezya — to spytaj wielu słyszało o Miriamie i spróbuj zagadnąć, co to jest *Anima lachrymans?*

Lecz nie, prowadzę ciebie na manowce. Czasy dziś poważne, nie bawić, ale uczyć się musimy. Pójdź za mną do akademii i zapytaj, czy wielu ma odbiorców na swe wydawnictwa? Albo też zagadnij kogo mimochodem, czy nie słyszał, czyje to dzieło *Ludy?* Czy to Polak pisał, czy też cudzoziemiec?

Może cię interesuje literatura peryodyczna? Zaglądnij z łaski swej do »koła literackiego« i zobacz, czy rozcięte są karty *Biblioteki warszawskiej*, *Ateneum*, *Prawdy Głosu* i t. d.

Z »Koła« krok tylko do teatru. Wejdź na salę i rozglądnij się po tych pustych ławkach. One ci odpowiedzą, jakiem tentnem bije tu życie.

Wpadnij po drodze do sali ratuszowej na odczyt Miriama, pójdź na kilka wykładów uniwersyteckich, zaglądnij na jaki koncert — wszędzie ujrzysz pustki, zamiast tłumów żądnych wiedzy, sztuki!

Lecz przejdźmy na inną arenę. Życie towarzyskie, społeczne, polityczne, jakże wartkim idzie pędem!?

Przejrzyj karty sprawozdań, ilu też członków mają rozmaite towarzystwa, zapytaj, kto ma być prezydentem miasta, posłem, deputowanym, zapytaj o zgromadzenia wyborcze, kto w nich chce brać udział, kto chce przyłożyć rękę do jakiej pracy publicznej...

Nic i nic. Cisza, martwota, senność.

Ktokolwiek podniesie z tego snu głowę i chce uderzyć w surmę bojową, wszyscy go ściągają napowrót, by spokojnego snu hałasem swym nie przerywał.

Tak, sen ten wygodny, ale nie dla nas. Obojętność i apatya, która się zakradła do wszystkich warstw, do wszystkich dziedzin życia umysłowego, towarzyskiego, społecznego i politycznego, zjada energię całego społeczeństwa i rzuca nas bezbronnych na pastwę wrogom.

Żadnej pracy nie wspieramy, żadnych jednostek nie kształcimy, żadnym usiłowaniom nie pomagamy, wszystko krytykujemy i rzucamy na barki kilku szamocących się, a potem wołamy: wszystko na nic, ci są zapracowani i podołać nie mogą, innych ludzi nie mamy, u nas nic nie warto robić.

Nie i stokroć nie. Po za knajpką, po za wistem, jest cała dziedzina pracy niewątpliwie przyjemnej, tylko trzeba w niej zasmakować. Nie brak i ludzi chętnych do pracy. Ale róbmy istotnie,

popierajmy szczere usiłowania, nie spijmy bez końca, a będzie lepiej.

Czy uwierzyłeś, czytelniku, w szczerość moją i chcesz dojrzeć, gdzie jest istotny cel mych uwag.

Pessymizm, który z nich wieje, nie jest wcale zaprzeczeniem wszystkiego, co się w tym kraju robi. Nie jestem ani ślepym, ani niesprawiedliwym. Widzę, jaki postęp zrobiła Galicya w ostatnich lat dziesiątkach. Widzę rozwój szkolnictwa, tę chlubę usiłowań zacnych patryotów, widzę ulepszenie komunikacyi, usiłowania na polu przemysłu, postęp w stosunkach zdrowotnych kraju, widzę wreszcie zapał i krzątanie się koło wystawy krajowej.

Pessymizm mój nie wynika wcale z powodu »jakiegoś niepowodzenia« (jak głoszą przychylni) *Słowa polskiego*. Przeciwnie, jeżeli chcesz przekonać się czytelniku, rozsyłamy już w tej chwili około 250 egzemplarzy *Słowa*, co w pierwszym kwartale istnienia wcale nie reklamowanego pisma, nic powinno usposabiać pessymistycznie.

Ale jest co innego. Tu znowu *Słowo Polskie*, to przykład. Rozesłaliśmy około 4000 egzemplarzy pierwszego numeru po całej Galicyi, oczywista przedewszystkiem do tych, którzy stoją na czele inteligencyi, a więc do posłów, członków akademii umiejętności, profesorów uniwersytetów i szkół średnich, adwokatów, lekarzy, notaryuszów, sędziów, do członków instytucyi finansowych itp.

Czy wiesz, jakie echo znaleźliśmy? —

Na obu uniwersytetach wraz z akademią mamy aż 2 abonentów a nie są nimi wcale profesorowie literatury; ani jeden profesor gimnazyum, ani jeden sędzia nie zaszczycił nas prenumeratą. Jeden lekarz, 4 notaryuszów, jeden adwokat, kilka towarzystw zaliczkowych — oto cały zapas poparcia w tej sferze.

Czy wiesz dalej czytelniku, że n. p. w Jaśle mamy więcej abonentów, niż we Lwowie.

Czy wiesz, że żadna cukiernia, żadna restauracya, żaden kupiec go nie żąda?

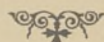
A więc? Więc wszystkie te objawy, które spostrzegam na różnych polach, które stwierdzam znowu własnem doświadczeniem, uogólniam i kończę.

Na polu życia umysłowego widzę największą senność i martwotę, na innych istniejący postęp jest wynikiem olbrzymich trudów tylko jednostek. Wyliczę kilkanaście nazwisk i stanę.

Wiem, że mamy w sobie i siły po temu i nie brak nam na szlachetnych ideach, pomysłach, planach.

Brak tylko skupienia, brak energii, brak wiary we własne siły.

Budźmy się nawzajem, łączmy się a będzie żywszy postęp, będą wydatniejsze owoce naszej pracy.



PRZEGLĄD POLITYCZNY.

1.200 miesięcy od przysięgi Kościuszkowskiej. — Gladston i jego znaczenie.— Przyzwoity oportuinzm.— Krzywdy dla sprawy wolności. — Mężowie stanu u schyłku wieku. — Manifestacya w Budapeszcie. — Gdzie więcej nieślubnych dzieci? — O czem milczą madjarzy? — Niemcy i wnioski polskie. — Obiecanki a rzeczywistość. — Hr. Ballestrem obrońca Polaków. — Jaka przyszłość? — Czy będzie »wielka« wojna? — Akcya przeciw anarchistom a Anglia. — Dziwne obrazki.

Ważnemi wiadomościami możemy się podzielić z czytelnikami w tym tysiącznym dwuchsetnym miesiącu od czasu przysięgi Kościuszkowskiej. A te wiadomości wcale wogóle do pocieszających nie należą. Sędziwy *Gladstone*, zmęczony ciągłą walką z angielskiem stańczykowstwem, a jeszcze prawdopodobniej znękany wiekiem i chorobą, ustąpił z areny politycznej — i chociaż jego rezygnacya nie zmieniła dotąd stanowiska zajętego przez liberałów, ustąpienie takiego wodza osłabi niezawodnie ich siły. Nie należymy do bezwzględnych wielbicieli *wielkiego starca;* i warto powiedzieć dla czego. Gladstone, syn zbogaconego i pnącego się do arystokracyi szkockiego przemysłowca, zaczął od prawej strony, i był za młodu namiętnym torysem i przeciwnikiem Irlandczyków; nie trzeba więc szukać w jego postępowaniu zbyt jasnych zasadniczych pobudek; jest to ulubiony wódz angielskiego liberalnego mieszczaństwa, a więc najczystszej krwi oportunista, ale, jak u Anglików bywa, przynajmniej przyzwoity, *respectable*. Należy mu się atoli najwyższy

szacunek za energję z jaką przeprowadzał wszystkie reformy, nawet najpostępowsze, skoro mieszczanie zawyrokowali, że takie ustępstwa leżą w ich interesie. W zagranicznej jednak angielskiej polityce ów oportunizm angielskich kupców, łaknący pokoju za jaką bądź cenę, a którego najzdolniejszym przedstawicielem był *wielki starzec*, wyrządził sprawie wolności na całym świecie, a głównie nam Polakom, najdotkliwsze szkody. Dość wspomnieć postępowanie Gladstona podczas moskiewskich zawojowań w środkowej Azyi (1865—1873), i podczas tureckiej wojny (1877). Wówczas liberalna obłuda doszła nawet do tego, że przedstawiano Moskali całemu światu jako cywilizatorów i obrońców uciśnionych ludów, i dopiero torys Dizraeli uratował Bułgarję i wschód cały, gdy jednem potężnem słowem zatrzymał carskie pułki u samych bram Carogrodu. Ale, nie wyrokując o bezwzględnej wartości ustępującego męża stanu, przyznać trzeba, że jest on najzupełniej, podług angielskiego wyrażenia, jednookim między ślepymi, i że tegoczesny »schyłek wieku«, odznaczający się samymi Bismarkami, Boulangerami, Taafe'emi, Crispi'emi, będzie mógł przynajmniej pochwalić się jednym Gladstonem, gdy wybije godzina wielkiego obrachunku.

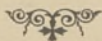
Zatamowana w Anglii, przynajmniej czasowo, sprawa wiecznej sprawiedliwości zwycięży prawdopodobnie daleko bliżej od nas, — w sąsiednich Węgrzech. Wspaniała manifestacya w Budapeszcie była wyrazem tego parcia publicznej opinii, które obali wkrótce ostatnie ślady religijnej nietolerancyi, i zaprowadzi śluby wolne, na wzór krajów stojących na czele cywilizacyi, choć nie w takiej zupełności, jak n. p. w protestanckich Amerykańskich Stanach Zjednoczonych. Taka szeroka legalizacya związków małżeńskich przyczyni się niezawodnie do zmniejszenia rozpusty, tak kwitnącej przy dotychczasowych prawach niby religijnych, n. p. w ultrakatolickim Krakowie, gdzie rodzi się 40% dzieci nieślubnych, i w niemniej katolickich: Wiedniu i Monachium. Ale i w Węgrzech nie mamy, niestety, do zanotowania czystego i szczerego postępu. Opozycya przeciw ślubom cywilnym ma tam swoją racyę bytu, o której madiarscy liberałowie najzupełniej milczą: przy nowem prawie wszystko będzie zależało od madiarskich urzędników, i nie dziw, że inne narodowości wolą się trzymać starego bezprawia, przy którem szanowano przynajmniej ich odrębność i odwieczne ich tradycye. Nie tak bywa w Ameryce, gdzie każdy bierze ślub, i ślub legalny, prawie zawsze nota bene kościelny, jak, gdzie i przed kim mu się podoba.

To się dzieje za południową naszą granicą, a za zachodnią w *kulturowych* Niemczech, o sprawiedliwości nie ma, rozumie się, mowy. Pogodzenie się Wilhelma z Aleksandrem, zapieczętowane pierwszemi od dwudziestu lat uroczystemi odwiedzinami niemieckiego ambasadora w Petersburgu przez teraźniejszego cara, już się nam daje we znaki, ku większej chwale pp. Kościelskiego, Jażdżewskiego i innych *polskich Prusaków*. Sejm pruski odrzucił bez wszelkiej ceremonii wniosek posła Mottego o zniesieniu komisyi kolonizacyjnej, pomimo poparcia wniosku przez lepszą część niemieckiej opozycyi, a p. minister oświaty, osławiony Bosse, dał należytą odprawę roszczeniom Polaków co do równouprawnienia naszej ojczystej mowy we własnej naszej Ojczyźnie. Tak uroczyście obiecane przez pp. Kościelskich ustępstwa językowe okazały się czystą *cacanką*, i nasi nowożytni Targowiczanie sprzedali, jak ich ojcowie sto lat temu, rzeczywistość za najzupełniejszą mrzonkę. Nawet osobistych wynagrodzeń im się nie dostało, jak tamtym. Zaznaczyć jednak trzeba, że nauka, dana przez Szlązaków niemieckim katolikom (wyborem posła *Strzody)*, nie pozostała bez skutku. Dotychczasowy przywódca tych katolików na Szląsku, hr. Ballestrem, stał się od razu z zawziętego germanizatora obrońcą *polnisches-gesindl'u*, i wypowiedział nawet taką (dla Niemców) herezyę, że *każdy człowiek ma niezaprzeczone prawo do pielęgnowania swego języka ojczystego (!!!)* Jak dobrze czasami działa użycie kija na tych, którzy innych argumentów nie rozumieją!

Ugoda Rosyi z Niemcami może też być uważaną za stanowczą, i austro-węgierscy ministrowie spieszą, jak zawsze, w ślad wielkiego swojego zachodniego

sprzymierzeńca. O ile ta umowa będzie zbawienną dla polskiego rolnictwa, o tyle jest brzemienną wielkiemi zmianami politycznemi, których na czasie przewidzieć nie można. Tego się jednak spodziewać wypada, że mocniejsi, jak zawsze, pogodzą się kosztem słabszych, i że będziemy świadkami bardzo ważnych, chociaż wcale nie nowych wypadków, zupełnie nie podobnych do »Wielkiej Wojny« Łuskiny.

A tymczasem słabsi bawią się, jak mogą — niżsi bombami i spiskami, wyżsi sądami wojennemi i stanami oblężenia. Tyleśmy już o tem pisali, że powtórzenie znużyłoby czytelnika. Jedyna prawie pocieszająca wiadomość z Anglii pochodzi, jak zwykle bywało w czasach ogólnego rozprężenia przy ogólnej reakcyi. Na proponowaną przez obcych wspólną obławę na anarchistów, a żądane przez swoich wydalenie z Anglii tych niebezpiecznych żywiołów, minister Asquith odpowiedział mniej więcej tak: »Anglia nikogo nigdy nie wydawała, a jeżeli zawinili, możemy ich sądzić i ukarać u siebie«. Prawdziwie po dżentelmeńsku, czyli polską mową, po szlachetnemu — ale ten wyraz tak się u nas zużył, (wspomnijmy tylko o *szlachetnych denuncyacyach)*, że musieliśmy użyć obcego, jeszcze nie zupełnie ostańczykowanego wyrażenia. Gdyby nie takie od czasu do czasu dowody, że nie wszyscy na świecie są teraz „*schyłkowcami*“, można by zaiste zwątpić o całej przyszłości. Niemieccy niedowiarkowie, broniący polskiego księdza od niemniej polskiego prałata — polscy Słowianie, uchwalający niedawno niemieckie kije dla Słowian czeskich — w Kościuszkowską rocznicę reprezentanci polskiego narodu, topiący po cichu niemiecki projekt, dążący do powiększenia praw polskiego ludu — katoliccy kapłani, uniewinniający w Rzymie morderców w Krożach — mężni przewódcy młodoczechów, haniebnie opuszczający podburzoną przez siebie młodzież — wszędzie ucisk, zdrada i wściekłe ogłupienie — taki szereg obrazów wcale do wesołych nie należy.



SPRAWY POLSKIE.

Polskie Towarzystwo handlowo-geograficzne.

Siła i pomyślność każdego społeczeństwa rosną wraz z postępującą oświatą i organizacyą; tylko jego wrogowie myślą o wstrzymaniu oświaty i o jego dezorganizacyi. Wszystko więc jest dobre, co nas zbliża do osiągnięcia obudwu powyższych celów. Dla tego też przychylnie winno społeczeństwo nasze witać narodziny Polskiego Towarzystwa handlowo-geograficznego, które te dwa cele właśnie ma na oku i to w kierunkach dotąd u nas niepraktykowanych. Przysłowie „*Si jeunesse savait, si vieillesse pouvait*“ (gdyby młodość wiedziała, a starość zdołała) można w tem znaczeniu zastosować, że każde młode i żywotne społeczeństwo, nawet będące w tak nieelastycznych warunkach bytu, jak nasze, wyprzedziłoby wszystkie inne, gdyby umiało skorzystać ze wszystkich danych społecznych i przyrodzonych, które ma pod ręką.

Przecie cudzoziemcy, którzy przychodzą do nas bez grosza, a tylko jedynie z kapitałem pomysłowości, szybko dorabiają się u nas krociowych i milionowych majątków i dziwią się czemu miejscowa ludność nie raczy korzystać z tych skarbów materyalnych i moralnych, jakie sama posiada i jakiemi władać by mogła z łatwością.

Jesteśmy w koniecznej komunikacyi z całym światem i nie korzystamy z tego położenia, a przeciwnie obcy wyzyskują naszą nieświadomość. Nie śni nam się dotąd, nawet tylko pod względem ekonomicznym skorzystać z drzemiących sił naszych własnych. Nie wiemy dokładnie, co mamy u siebie, ilu nas się znajduje rozproszonych na kuli ziemskiej i jaka mogłaby być z tego rozproszenia korzyść dla krajów naszych.

Te rzeczy, nieznane i niewyzyskane przez nas, stanowią ogrom zadań, któremu w zupełności nie podoła żadne towarzystwo i żaden rząd najbardziej postępowy i narodowy. W tem, że nie ma obawy ich wyczerpania, tem większa jest racya bytu i gwarancya żywotności Towarzystwa, które postanowiło zwrócić oczy choćby tylko na niektóre z tych pól, leżących u nas odłogiem. Te zaś byłyby najbliższe i najwidoczniejsze: 1) Wynalezienie nowych rynków zbytu lub uproszczenie już

istniejących dla naszych produktów. W tym względzie przytaczamy ustęp listu fachowca:

»Przy wytrwałej i sumiennej pracy import do Anglii może przybrać niepoślednie rozmiary. Odnosi się to przedewszystkiem do produktów cerealnych i do drzewa — a zarazem daje do walczenia z kolosalną i kolosalnie łotrowską konkurencyą, opartą głównie (może *jedynie)* na wyzyskiwaniu słabości charakteru, biedy, zbytkowości i żądania przedwczesnego kapitału u naszych obywateli ziemskich. Dopóki obywatel sprzedaje za bezcen przed sprzętem, dopóty kontentować się on musi tym targiem, który mu daje od 50—60% mniej dochodu, niżby miał, gdyby *chciał i mógł* eksportować i sprzedawać bezpośrednio i na miejscu. Względnie do rynku zbożowego w Anglii zyskałby on również na czystości towaru. Dla tego wszelkie starania o zcentralizowanie handlu i wymiany zagranicznej w organizacyach szczerze narodowych, mających najwyżej 3—4-ech ognisk (Lwów, Warszawa, Ryga, Kijów lub Odesa), wszelkie takie starania uważam za najważniejszą organiczną i bezwzględnie najkorzystniejszą przysługę, oddawaną wszechstronnym interesom społeczeństwa«.

W tej mierze należy zwrócić uwagę ogólną na to, że możemy wywozić nie tylko produkta surowe, lecz też i wytwory przemysłowe nasze nawet do krajów najwyżej rozwiniętych przemysłowo, wbrew powszechnemu błędnemu mniemaniu, zaczerpniętemu ze źle zrozumianej nauki ekonomii politycznej o niepodobieństwie współzawodniczenia słabszego społeczeństwa z mocniejszem. Tem pewniej możnaby wyroby nasze wywozić a przez to wzmacniać i stwarzać naszą produkcyę, im dokładniej będziemy znali ich cenę w krajach, gdzie je poszukują, koszt i warunki ich przewozu, oraz istnienie polskich towarzystw, instytucyi i pojedynczych osobistości, przez które stosunek wywozowy może się zawiązać. Bardzo wymownym przykładem świecą niemcy, zwłaszcza w ostatnich 2 dziesiątkach lat, stwarzając u siebie olbrzymie gałęzie produkcyi przez wyszukanie przedewszystkiem dalekich a nieznanych rynków zbytu. Tak postępuje w każdym kraju wielki przemysł, zaczynając swe istnienie przedewszystkiem zaczepnie, t. j. starając się o zbyt na zewnątrz kraju a potem dopiero obronnie w bliższej swej okolicy, skoro już silnie stanął na nogach, współzawodnicząc skutecznie z obcym wyrobem. Nie inaczej jest i będzie u nas i na to trzeba oczy otworzyć. Uczynić to będzie mogło Towarzystwo handlowo-geograficzne.

2. Przyczynienie się do jaknajbezpośredniejszego importu. Ze wszystkich części świata sprowadzamy towary do naszego codziennego użytku. Otrzymujemy je co najmniej z 5-tej ręki, jeżeli nie z 10-tej; za pośrednictwem rodaków naszych, mających często wybitne stanowiska we wszystkich punktach globu ziemskiego, otrzymamy te same towary z 1. lub 2. ręki, oszczędzając sobie koszta licznych i drogich pośrednictw. Objaśnienia w tym względzie, jak dostąpić powyższego celu, dostarczy nam zawiązujące się Towarzystwo.

3. Wobec istniejącego rocznego wychodztwa polskiego kilkodziesięciotysiącznego byłoby pożądanem, aby polska firma przewozowa istniała, jak istnieje czeska w Hamburgu i Bremie, i żeby ustały milionowe zyski jakie z przewożenia ludu polskiego przez ocean zagarniają firmy przewozowe obce. W czem leży ten zysk z pośrednictwa przewozowego? Jak uczynić, żeby pośrednictwo to było jaknajtańsze dla wychodźcy? Jak nad nim roztoczyć opiekę w portach? Rozjaśnień tych będzie mogło dostarczyć Towarzystwo handlowo-geograficzne.

4. Ono też wskaże szerszemu ogółowi bliższe dane o stosunkach polskich zamorskich, które nas coraz więcej zajmują tak pod względem humanitarnym, jak materyalnym. Na rozwój dodatni tych stosunków w duchu szczęśliwego wzrostu naszego kolonizacyjnego stare kraje ojczyste będą mogły wpływać za pomocą wiadomości uzbieranych i udzielanych przez to Towarzystwo.

5. Kto zaś nie lubi się wychylać po za kraj rodzinny, znajdzie w nim także bardzo obszerne i nieobrobione pola działania. Cały dział geografii ziem polskich, tak handlowej, przemysłowej, jak historycznej, prawie nie istnieje; jestto niemal zupełnie dziewiczy las; nie tknęliśmy go prawie dotąd; przeto często zgoła nie wiemy, co się u nas dzieje i znajduje, a wiedzą lepiej obcy, rozporządzający nierzadko olbrzymiemi aparatami wywiadowczemi tak prywatnemi, jak państwowemi.

6. Wreszcie Towarzystwo handlowo-geograficzne będzie mogło zainicyować rzecz wspaniałą: Muzea prowincyonalne.

W tej materyi przytaczamy ustęp artykułu *Przeglądu Emigracyjnego*, z którym najzupełniej się zgadzamy. Bardzo urodzajnem po-

lem działania w kraju byłoby: zapoczątkować zakładanie muzeów prowincyonalnych takich, jakie istnieją we Francyi i na Syberyi. Tak tu, jak i tam, to jest w siedlisku ludnem starej i wysokiej cywilizacyi, i w kraju nowym, prawie dzikim i mało zaludnionym praktyka kikunastoletnia wykazuje, że muzea takie z wielką łatwością się tworzą i dochodzą do niesłychanego rozwoju. Byleby w jakiem miasteczku znalazł się człowiek inteligentny n. p. doktór, adwokat, sędzia, aptekarz, lekarz, rejent i t. p. łatwo z małych początków powstają społeczne ogniska cywilizacyjne w postaci muzeów prowincyonalnych. Albowiem wszędzie są jakieś pamiątki przeszłości, wszędzie jakaś flora i fauna, jakieś skarby przyrody i przetwory rąk ludzkich, zwyczaje i obyczaje uwidocznione n. p. w ubiorach, statkach, sprzętach, instrumentach muzycznych, narzędziach i t. p. ludowych i mieszczańskich; wszystkiego tego dostarcza sama ludność w obfitości niespodziewanej, jako też i lokali odpowiednich. Na takie współdziałanie ogółu składają się różne pobudki, jak: poczucie obywatelskie, szlachetna ambicya, zamiłowanie do zbiorów, interes prostej reklamy. Chodzi tylko o zainteresowanie okolicy tą sprawą i o owego człowieka dobrej woli i inteligentnego. Tenże za wskazówkami, jakich mu Towarzystwo handlowo-geograficzne dostarczy, z łatwością będzie mógł powoli ten ogrom rzeczy muzealnych składać i wymieniać z innemi muzeami wedle systemu już wypróbowanego. Albowiem w tej mierze wychodzi osobne czasopismo we Francyi i zresztą nie trudno będzie wejść w stosunki bliższe z tymi, którzy przyczyniają się wciąż do zakładania i rozwoju takich muzeów.

Więc już sam wielki pożytek tworzenia nieistniejącej prawie geografii polskiej i poglądowych, że się tak wyrażę, abecadeł dla ludności naszej w postaci muzeów prowincyonalnych byłby dostatecznym, aby uzasadnić istnienie Towarzystwa handlowo-geograficznego. A takich zadań nawet w ścisłym obrębie kraju rodzinnego znajdzie się może więcej.

A zatem mniej powątpiewań a więcej ufności we własne siły i więcej pracy!

Oksza.

Z Sejmu.

(Dokończenie).

(Rezultat prac. — Sprawy szkolne i szereg uchwał dla dobra oświaty. — Pomoc dla dotkniętych powodzią. — Popieranie budowy kolei lokalnych. — Melioracye. — Pożyczka 10 milionów dla Lwowa. — Reforma gminna. — Osada rolniczo-poprawcza).

Wspomnieliśmy już na wstępie, że wynik prac sejmowych z powodu krótkości sesyi nie mógł być zbyt obfitym. Ażeby jednak złożyć winny hołd prawdzie, musimy bezstronnnie przyznać, że tegoroczna sesya, chociaż krótka, wydała dodatnie rezultaty, że w szczególności nie trawiono wiele czasu na pustych gadaniach, ale pracowano w przyspieszonem tempie.

W pierwszym rzędzie sprawy dotyczące szkolnictwa doczekały się rychłego i pomyślnego załatwienia. Znany już czytelnikom z poprzednich naszych artykułów wniosek posła Stan. Badeniego został uchwalony.

Uchwalono też rezolucye, domagające się wprowadzenia nauki gimnastyki, jako przedmiotu obowiązkowego w szkołach średnich, uregulowania nauki religii mojżeszowej, polepszenia płac nauczycieli, założenia wyższej szkoły realnej w Tarnopolu i zaradzenia rażącym niedostatkom co do pomieszczenia naszych szkół średnich.

Sprawa wyższych szkół żeńskich tak pożądanych postąpiła także krok naprzód. Uchwalono bowiem na wniosek komisyi szkolnej odnieść się do rządu z tem, aby na najbliższej sesyi wystąpił z wnioskiem co do założenia szkół wydziałowych żeńskich o szerszym niż dotychczasowe zakresie.

Jeżeli do tego dodamy statut organizacyjny dla szkoły politechnicznej, uchwałę domagającą się wprowadzenia nowych inspektorów w każdym okręgu szkolnym, kursy rolnicze a wreszcie polecenie, aby Wydział krajowy wystąpił w najbliższym czasie z wnioskami co do reorganizacyi nadzoru nad krajowemi szkołami rolniczemi — to okaże się, że praca sejmu na polu szkolnictwa była dość obfitą.

Wcale szybko i pomyślnie załatwione zostały wnioski, zmierzające do niesienia pomocy dotkniętym zeszłoroczną klęską. Uchwalono kwotę 100.000 zł. na zasiłki a 300.000 zł. na bezprocentowe pożyczki, postanowiono dalej wyjednać u rządu, aby ze swej strony wystąpił dodatkowo z pomocą

w wysokości 300.000 zł., uchwalono także żądanie wstrzymania egzekucyi podatkowych do jesieni r. 1894, a wreszcie przy sposobności przypomniano ponownie sprawę regulacyi rzek, której dzięki długoletnim przyjaznym stosunkom ze rządem doczekać się nie możemy.

Doniosłego znaczenia ekonomicznego są także uchwały, popierające akcyę melioracyjną, uchwała przeznaczająca kwotę zł. 300.000 rocznie przez lat 75 celem poparcia sprawy budowy kolei lokalnych w Galicyi, wreszcie uchwała, zezwalająca na pożyczkę 10 milionów zł. dla miasta Lwowa na rozmaite wkłady, mające podnieść stolicę kraju i przysporzyć jej dochodów.

Z innych uchwał zasługują na podniesienie; uchwała dotycząca sprawy reformy gminnej, polecająca Wydziałowi krajowemu, aby rozpatrzył wszystkie petycye i projekty posłów Pilata, Rutowskiego i Potoczka i na najbliższej sesyi wystąpił z odpowiednimi wnioskami, dalej uchwała polecająca Wydziałowi krajowemu, aby na przyszłość wykazywał załatwione i niezałatwione sprawy polecone mu przez sejm, wreszcie uchwała, postanawiająca urządzenie osady rolniczo-poprawczej dla 150 nieletnich chłopców.

Oto poza budżetem i drobnemi sprawami w krótkości wynik pięciotygodniowych prac sejmu. Ileżby można przeprowadzić, gdyby sejm raz nareszcie mógł spokojnie zebrać się na sesyę przynajmniej trzechmiesięczną i gdyby sprawy krajowe nie były stawiane na ostatnim planie na wielkiej arenie politycznej?!

L.

Z pod zaboru pruskiego.

Zdziwienie i niezadowolenie. Polityka bez polityki. Polski Wallenrodyzm. P. minister Bosse bez maski. Nowy podział etnograficzny. Ostatnie słowo.. Wybory w babimojskim okręgu i szanse polskie. Z Szląska. Bankructwo ugody — nowa ugoda.

Po ostatniej mowie wygłoszonej przez ministra Bossego w sejmie pruskim d. 1. marca b. r. podczas obrad nad etatem ministerstwa oświaty, doleciał nas zewsząd okrzyk zdziwienia i niezadowolenia zarazem, nawet ze strony najzagorzalszych zwolenników dotychczasowej polityki Koła polskiego w Berlinie. Najzupełniej podzielamy to niezadowolenie, należąc do tej samej narodowości, której się krzywda dzieje, ale na okrzyk zdziwienia nas nie stać, boś my nigdy nie należeli do tego stronnictwa, które żyło złudzeniami do ostatniej chwili. Od samego początku byliśmy zdeklarowanymi przeciwnikami tej polityki, jakiej się trzymała frakcya polska wobec rządu, od chwili ustąpienia ks. Bismarka; a to bynajmniej nie dlatego samego, że ją prowadził rycerz w bobrowym kołpaku, purpurowy pomazaniec, lub jeden z tej muzealnej warstwy narodu, która odczuć dzisiejszej chwili nie jest już wstanie, ale dlatego, że w niej wszystko było, zacząwszy od tego poniżenia, przez które przejść musiał i arcybiskup poznański, wstępując na tron arcybiskupi, aż do tego wywyższenia, które spotykało innych przy poczdamskim stole. Jednego tylko w tej »polityce« brakowało — polityki. Była łatwowierność, wrażliwość, uczuciowość taka, że się czasami zdawało, że ci ludzie, mając z aniołami do czynienia, jeszczeby grzeszyli tą dobrodusznością. Widzieliśmy uosobioną w tych panach jagnięcą naturę polską, niezmienioną doświadczeniami tyluwiekowej przeszłości. Nie odmawiamy nikomu patryotyzmu, owszem jesteśmy mocno przekonani, że i za pomnożeniem armii pruskiej, skoro tak zapamiętale, i bez zastrzeżeń. kruszył kopię p. Komierowski w imieniu potomków tych ludzi, co przed stoma laty skąpili jej dla własnej ojczyzny, czynił to w dobrej wierze; gotowi jesteśmy przypuścić, że i p. Kościelski, dmuchając w rożek patryotyzmu pruskiego, kiedy tworzył z siebie karykaturę Prusaka po polsku mówiącego — parodyował tylko Wallenroda. Ale jeżeli to wszystko nie było jeszcze grzechem przeciw patryotyzmowi, było analfabetyzmem w polityce, która gotowa była oddać ostatnią koszulę za sprytne kuglarstwo.. Intencye polityki pruskiej wobec Polaków pozostały w zasadzie co do joty te same, tylko, gdy Bismark nawet w epoce swoich szatańskich pomysłów posiadał szlachetny przymiot otwartości, tutaj mieliśmy od początku do czynienia z zamaskowanym nieprzyjacielem. Zatem gdy p. minister Bosse na d. 1 marca zdjął z swojej twarzy maskę — rozległ się okrzyk zdziwienia wsród polskiego audytoryum, bo poznano dopiero, z kim się miało od kilku lat do czynienia: bynajmniej nie z jakimś nawróconym Szawłem, ale ze zwykłą, typową postacią krzyżackiego mistrza... w tej sztuce.

Warto przytoczyć jeden ustęp z mowy p. ministra, motywujący zniesienie prywatnej nauki języka polskiego w polskich prowincyach. Stenograficznych zapisków jeszcze nie mamy, podajemy więc ustęp ten w streszczeniu według *Dziennika Poznańskiego*.

»Co się tyczy nauki języka polskiego — mówił minister pruski — to nie spełniły się nadzieje, jakie rząd przywiązywał do instytucyi prywatnej nauki języka polskiego. Prywatna nauka języka polskiego doprowadziła do najgorszych nadużyć, przeciążała ona dzieci w pracy do tego stopnia, że na tem cierpiała nauka języka niemieckiego. Często także urządzano egzamina w celach demonstracyi polskich. Także byli nauczyciele zależnymi od polskich komitetów prywatnych. Dla tego też on, minister, kiedy jeszcze nie było wogóle mowy o projekcie wojskowym lub traktacie rosyjskim, zastanawiał się nad usunięciem tej prywatnej nauki, gdyż przyszedł do uznania, że nie należy jej tolerować, skoro nie można mieć nad nią kontroli«.

A gdy znany nasz przyjaciel poseł hr. Limburg-Stirum chciał się czegoś więcej jeszcze dowiedzieć o polityce pruskiej wobec nowych żądań polskich, minister Bosse krótko i zwięźle odpowiedział mu: »Czy Polacy wystąpią jeszcze z jakiemi żądaniami nie wiem, ale za to ręczę, że one nie zostaną już uwzględnione«.

Wobec tego rodzaju oświadczeń i wynurzeń, jaką miarę przykładać możemy do fakultatywnej nauki języka polskiego w pewnych powiatach poznańskich? — żadnej. Straciliśmy przynajmniej możność nauczania dzieci po polsku w prywatnej nauce we wszystkich prowincyach, a w zamian otrzymaliśmy dla kawałka ziemi szczyptę, którą wydzielać nam będzie, chyba nie zanadto szczodra ręka. Co więcej, uzyskaliśmy przez to nowy, etnograficzny podział ziem polskich, przez który odłączono 2 miliony ludności polskiej, wydając je na łup germanizmu. Zresztą owa fakultatywna nauka języka polskiego, to nie żadne rzymskie prawo pisane rylcem stalowym, wymazać je może każdej chwili minister pruski tak, jak prywatną naukę języka polskiego, skoro tylko się przekona, że jest przyczyną »demonstracyi polskich«. A o to nie trudno.

Do ugodowej polityki możemy zatem już dorzucić ostatnie słowo: »*I nie wódź nas na pokuszenie więcej*«!...

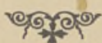
Stoimy w przededniu wyborów do parlamentu z okręgu babimojsko-międzyrzeckiego. Pod presyą agraryuszów złożył tutejszy mandat poselski br. Unruhe-Bomst, dwudziestokilkuletni poseł tej ziemi. Polacy zawsze stawiali tutaj swojego kontrkandydata, ostatnią razą ks. prałata Eima, przecież zawsze zabrakło nam do zwycięstwa półtora do dwóch tysięcy głosów. Są wprawdzie tacy, którzy twierdzą, że przy energiczniejszej akcyi z naszej strony moglibyśmy zdobyć ten okręg wyborczy; sądzimy jednak, że jestto niemożebne o własnych siłach, a nawet bardzo nieprawdopodobne przy pomocy katolików niemieckich. Okręg ten posiada dzisiaj mieszkańców 110.000, z czego wypada na ludność katolicką 58.000 (53%), na ewangelicką 50.000 (46%) a 1.300 na żydów. Między katolikami jest dosyć Niemców i oddawna zniemczałych Polaków, tak, że ludność polska co najwyżej dochodzi tu do 38—40.000 (36%), czyli, że z ogółu uprawnionych do głosowania 22.000 osób, możemy posiadać zaledwie 8.000 wyborców. Katolicy niemieccy rozporządzają 3.500 głosami, przy wspólnem więc działaniu wszystkich katolickich wyborców tego okręgu, zwycięstwo nie byłoby jeszcze zupełnie pewne po naszej stronie. Jedynie żywszy udział wyborców polskich mógłby do pewnego stopnia podnieść szanse i ilość głosów polskich wykazać ponad 7.000 przy pierwszem głosowaniu. W samym początku mówiono tu nawet o postawieniu kandydatury ludowej, byłoto pod wrażeniem wyborów prudnickich, niestety odstąpiono od tego zamiaru, a kto wie, czy w takim razie nie bylibyśmy pewniejsi zwycięstwa, a w każdym razie byłaby to pierwsza próba w celu zbadania nieznanego terenu. Ale o tem już na razie mowy nie ma, wobec ogłoszonej oficyalnej kandydatury ks. Szymańskiego, proboszcza z Dąbrówki.

Kiedy już mowa o wyborach, warto wspomnieć, że czekają nas nowe na Szląsku, do Sejmu z okręgu opolskiego, gdyż komisya unieważniła tam wybór majora Szmuli. Walka będzie nierównie zaciętsza, ale mamy nadzieję, że z walki tej wyjdziemy zwycięsko, dzięki coraz większej świadomości ludu Górnoszląskiego.

Bankructwo ugodowej polityki jedną może mieć dobrą stronę, że ręce, które trzymały dotąd torbę żebraczą, wolniejsze obecnie, zaczną uprawiać politykę narodową w całem

słowa tego znaczeniu, opierając się na własnym ludzie, gdzie tylko jest i daje znak życia o sobie. Lepszy to sprzymierzeniec od kaprysów marcowej pogody na berlińskim dworze. Naród polski jedną może dać tylko w takich warunkach odpowiedź na kuglarstwa pruskie, a tą odpowiedzią byłby potężny głos trzymilionowej rzeszy ludowej: razem wspólnemi siłami do jednego celu! A tak dotąd nie było ani w życiu, ani w polityce.

Orlica.



POWIEŚĆ i POEZYA.

NIEOBECNI.

OPOWIADANIE

T. T. JEŻA.

(Ciąg dalszy),

Ktoś, bodaj czy nie Wiktor Hugo, wyraził się o kobiecie, że jest to istota *qui s'habille, babille et se deshabille* (ubiera się, gdacze i rozbiera się). Istotą taką była hrabina. Istotą atoli taką był i hrabia. Młoda para rozeszła się w celu zmienienia toalety z porankowej na śniadaniową, nadchodziła bowiem pora tego posiłku, który u nas nosi nazwę obiadu, a w Paryżu śniadaniem się nazywa. Do śniadania nie uchodzi *matinée*, ani garnitur kraciasty. Hrabina włożyć musiała suknię, hrabia odzież kroju właściwego i barwy jednostajnej. Tak etykieta nakazuje. Rozeszli się przeto na piętrze, powiedziawszy sobie »do widzenia«, i młoda pani udała się do apartamentu swego, który zasługuje na to, ażebyśmy o nim słów parę rzekli.

Apartament to był nie wielki, obejmował sześć tylko pokojów. Ale, co to za pokoje! Co za meble, jakie ozdoby! Złota ani śladu, srebra ani na lekarstwo: obecność tych metalów zdradza gust bankierski — żydowski nawet — i dla tego usuniętą została. Miejsce świecideł zajmowały sztuki nadobne, wyglądające ze wszystkiego, co tam postawionem, położonem i zawieszonem było. Potrójne firanki w oknach, jedne ciężkie, jedwabiem przerabiane, drugie lżejsze, z cieniuchnej przędzy wełnianej tkane, trzecie koronkowe, pochodziły z fabryk najpierwszych. Okrycia na meblach nęciły oko pozorem miękości rozkosznej. Obicia ścienne odpowiadały harmonią barw barwie ogólnej każdej komnaty. Zwierciadła wielkie blask rzucały. Rozkład mebli przedstawiał symetryę rysunkową. Malowidła, których ilość zastosowaną była ściśle do rozmiaru pokoi i układu ozdób, pochodziły z pracowni malarzów najsławniejszych. Kobierce na podłodze i kobierce na stołach zastanowienie wzbudzały. A śród tego, tu przedstawiał się posąg lub posążek bronzowy albo marmurowy, ówdzie spostrzegać się dawała kolumna lub urna, tam znów spotykało się zagajenie, z pośrodka którego wyglądały kielichy, kity i grona kwiatów, gdzieindziej znów lampy o kształtach wytwornych zatrzymywały na sobie spojrzenie zdziwione.

Jeden z pokojów był salonem, drugi salonikiem, trzeci gabinetem, czwarty buduarem, piąty nie posiadał nazwy szczególnej, szóstego przeznaczenie zdradzało osłonięte drogiemi kotarami, rzeźbione, szerokie, okryte pościelą cieniuchną, miękką i białą, łóżko sypialne.

Do apartamentu należało jeszcze pokojów kilka, zaopatrzonych w sprzęty, które o przeznaczeniu ich świadczyły, jak naprzykład: ten, w którym stały szafy, komody i szaragi, był to skład odzieży i bielizny pani; inny mieścił w sobie marmurową, kształtem sadzawkę naśladującą wannę z kroplistemi i prądowemi tuszami — ten do brania kąpieli służył; jeden zawierał w sobie okryte sukniami i mantylami manekiny i spoczywających na postumencikach kapeluszy damskich ilość znaczną; jeden znów wyglądał naksztalt kapliczki, zaopatrzony był bowiem w ołtarzyk, w opromieniony aureolą z marmuru białego posąg Matki Bożej, będący kopią obrazków, przedstawiających cud w Lourdes, w kilka pysznych obrazów olejnych, w wieńce i bukiety kwiatów sztucznych, nigdy nie więdnących, w krucyfiks, w klęcznik, w książki do nabożeństwa, oprawne w aksamit z wyciskami i klam-

rami, składającemi świadectwa smaku i bogactwa sztuki introligatorskiej, we wszystko słowem, co służyć może do wzbudzania i potęgowania pobożności w odosobnieniu, dbałej o to, ażeby w zanoszeniu modłów do Stwórcy nie brakło na wygodzie i gracyi. Było to ustronie wdzięku i szmerów jakichś pełne — jakby niewidome anioły szelest w niem skrzydłami sprawiały. Dodać należy, iż posążki i obrazy odznaczały się poprawnością rzeźby i rysunku, różniąc się w tem od tych karykatur, które oglądać można na wystawach sklepowych, w okolicach kościoła świętego Sulpicyusza.

Rozkład apartamentu odpowiadał ściśle warunkom wygody. Hrabina miała pod ręką wszystko i na zawołanie wszystkich. Spełniać się musiało, czego jeno zachciała, w granicach, rzecz prosta, możliwości, ale możliwości bardzo obszernej, której wyrazem elementarnym był każdy jej rozkaz, każde skinienie gotowa spełniać usługa. Potrzebowała jeno guziczek z kości słoniowej z lekka paluszkiem nacisnąć, ażeby w tejże chwili zjawiła się przed nią panna Adela.

Weszła tedy, guziczka się dotknęła i panna Adela zjawiła się.

— Pani?...

— Zbliża się pora śniadaniowa...

— Co pani włoży...

Hrabina wymieniła kolor, miejsce w buduarze zajęła i w chwilę później strojoną być poczęła przez kobiety, które ją ubierały zupełnie tak, jak panienki małe lalki ubierają. Uwijały się koło niej: ta coś wkładała, owa coś przypinała, inna przyszywała. Hrabiny czynność cała polegała na patrzeniu w zwierciadło i rzucaniu rozkazów krótkich. Pod palcami służebnic przeistaczała się ona powoli z kobiety ubranej w *matinée* na kobietę ubraną w suknię koloru wody morskiej, przyozdobionej na piersiach, na przodzie, wzdłuż kości pacierzowej, u dołu, u góry w rozmaite dodatki, węzły, kokardy, fałdy, zawiązki, guzy, pentelki i inne z nazwiska mi nieznane osobliwości, których użytek, zjadłby licha ktoby wytłomaczył inaczej, jak zamiarem zastawiania sideł na płeć męską. Wszystkie wymysły mody nie mają znaczenia innego, jak potęgowanie sideł. Tak było, tak jest — tak będzie póty, póki godność kobiety, w prawie i obyczaju, nie stanie na równi z godnością mężczyzny — póki bytowe jej zadanie nie przestanie polegać przeważnie na rozwijaniu ponęt samiczych.

Panny służebne otoczyły hrabinę ponętami tego rodzaju, ułożonemi umiejętnie. Z każdego wydatniejszego postaci jej zagibu, zewsząd, gdzie się takowa w wypukłość zaokrąglała, wyglądał wabik jakiś, zatrzymujący uwagę i budzący oskomę. Stanęła przed zwierciadłem, obejrzała się od stóp do głowy, zwróciła się w jedną stronę i opatrzyła siebie tam, gdzie kolumna pacierzowa się kończy, zwróciła się w drugą stronę i uczyniła toż samo, następnie ogon sukni dłonią uderzyła i kroków kilka postąpiła, wreszcie na pannę Adelę spojrzała. W spojrzeniu jej tkwiło łatwe do odgadnienia zapytanie. Panna Adela zapytanie zrozumiała i odpowiedziała z akcentem:

— Pani!...

— Co?... — odezwała się hrabina.

— Jesteś zachwycająca...

— Doprawdy?...

— Jest to prawdą taką, jak, że w chwili tej dzień dniem...

— Wątpić by o tem wypadało... — rzekła hrabina, oglądając się w zwierciedle z zadowoleniem.

— O! pani...

W rzeczy samej, hrabinę otaczały uroki, w części — młodości, w części atoli większej toalety. Nie tyle dla Fidiasza za model by ona służyć mogła, co dla krawca. Krawiec zrobił z niej pieścidełko, któremu ona z przyjemnością wielką w zwierciedle się przypatrywała, uznając doskonałość jego bezwzględnie, pomimo, że miała obok siebie miarę porównania. Zwierciadło dwie odbijało postacie: jedną w toalecie misternie ułożonej, drugą w sukience szarej, w fartuszku, w czepeczku, z wyglądającym na piersi różańczykiem i krzyżykiem. Pani i pokojówka — z tego rozpatrywane punktu — porównanie wypadało na korzyść pierwszej. Był atoli jeszcze punkt drugi — punkt ten, z którego malarze i rzeźbiarze rozpatrują modele, a amatorowie przymioty, czyniące niewiastę bramą piekielną. Przewaga

w tym względzie znajdowała się po stronie pokojówki bezwarunkowo. Rzuciła się ona w oczy, ale nie hrabinie, która nie porównywała siebie — siebie tylko — w świetności ozdób jedwabnych, nicianych, wełnianych, metalicznych i mineralogicznych, w blasku urody. Czy i panna Adela porównania nie czyniła? Czy i ona widziała siebie tylko, nie widząc hrabiny, czyli też siebie nie widziała, a patrzenia potęgę całą na hrabinę zwróciła? Zdawałoby się, że to ostatnie miało miejsce, albowiem najmniejsze ściągnienie mięśni twarzy, najmniejsze źrenicy drgnienie nie zdradzało w niej zajęcia się, bodaj najlżejszego, osobistością własną. Wyzuła się ze swego ja i miała oczy do patrzenia jedynie na postać hrabiny, na której odblaski kamieni drogich i kolory wstążeczek różnych odbijały od barwy wody morskiej, cieniowanej za pomocą garnirowań barwy liści nadwiędłych. Oczy jej wyrażały zachwycenie, szczere i ogromne. Wykrzyknik »o! pani« był zachwycenia tego wyrazem.

— Czyż tak!... — odpowiedziała hrabina.

Panna Adela dłonie złożyła, do modlitwy niby.

— *Vrai?*... — zapytała pani.

— Wątpię... — zaczęła panna Adela.

— O czem?...

— Wątpię, ażeby w Paryżu...

— Co?...

— ...Z dam która porównanie z tobą, pani, wytrzymała...

Wyznanie to uczyniła w sposób taki, jakby się jej samo w uniesieniu z ust wydarło. Wyjąkała je, przygnieciona niejako ogromem oczywistości.

Hrabina uśmiechnęła się rozkosznie i po chwilce dodała:

— Ty się, panno, mylisz zapewne...

— Ach! nie...

— Czy znasz wszystkie w Paryżu damy?...

— Znam, pani... jeżeli nie wszystkie, to te, które w świecie zajmują stanowiska najwyższe...

Wyraz »w świecie« *(dans le monde)* wymówiła ze znaczącym przyciskiem, jakby do poznania przez to dać chciała, że świat jest jeden tylko.

— Znasz?... — zapytała hrabina.

— Z widzenia... Damy te wszystkie są dobrodziejkami drogich sióstr, w których zakładzie lat dziesięć spędziłam...

— Bywają w zakładzie?...

— Jedne bywają, inne świadczą, aleśmy o każdej od drogich sióstr powiadomione były... Pokazywano nam je z za kraty...

— Z za kraty?... — powtórzyła hrabina z akcentem zdziwienia lekkiego.

— Z chóru w kościele... — odrzekła panna Adela. Z widzenia przeto znam każdą damę świata...

— I powiadasz, panno?...

— Powiadam, pani, że żadna z tobą porównania nie wytrzyma...

Hrabina w zwierciedle obejrzała się od stóp do głowy; nastawiła się, jakby pozy próbowała; uśmiechnęła się do siebie i po pokoju powoli się przeszła, podczas kiedy panna Adela ze stolików, stoliczków, z gotowalni i haczyków zbierała drobiazgi różne.

Oblicze hrabiny wyrażało zamyślenie lekkie.

Przeszła się i usiadła.

— Pora już... — odezwała się panna Adela, w znaczeniu przestrogi, odnoszącej się do godziny śniadaniowej. Wybiła była właśnie pierwsza.

— Czekałam ja na hrabiego długo, poczekać może na mnie hrabia trochę... — odrzekła pani.

Panna Adela odeszła, wynosząc drobiazgów część jedną; po chwilce wróciła po drugą i, gdy powtórnie odchodzić miała, hrabina zatrzymała ją zapytaniem:

— Więc damy ze świata dobrodziejstwują zakłady drogich sióstr?...

— Tak, pani...

— Świadczą?...

— Tak, pani...

— Odniesiesz, panno, odemnie datek matce przełożonej...

— A nie!... — pochwyciła panna Adela, z giestem, który bronienie się oznacza.

— Czemu?...

— Nie pozwala mi na to reguła.

— Wszak zakonnicą nie jesteś...

— Zakonnicą nie jestem regularną, ale wiążą mnie pół-śluby, których złamanie pociągnęłoby za sobą...

— Co?... — Zapytała hrabina, widząc że panna zawahała się nad domówieniem okresu rozpoczętego.

— Ksiądz żaden nie udzieliłby mi rozgrzeszenia... — odpowiedziała z trwogi wewnętrznej akcentem. Nie... ja odnoszenia datków podejmować się nie mogę...

— Przez kogóż by go odesłać?... — rzekła hrabina nawpół do siebie.

— Przez spowiednika... Pani spowiednika wybierze sobie...

Wyraz »spowiednik« wtrącił hrabinę w zadumę.

O czem myślała ona? Ha!... »Każda Teresa ma swoje interesa« — ma je i młoda, piękna, bogata, wielka pani — i te, co się do spowiednika odnoszą, posiadają doniosłość specyalną, tyczącą się bytowania w wiekuistości. Interes to czysto, na wskróś osobisty i szczerze a wyraźnie egoistyczny, dla bogaczów zwłaszcza, którzy, używając w życiu doczesnem, używać chcą jeszcze i w wiecznem. Nie jest — że to chciwość niesyta? Chciwość ta w rozporządzeniu swojem posiada sposoby, zapewniające jej zaspokojenie — sposoby, względem których rolę niesłychanie ważną odgrywa ten, co sposobów owych jest skupieniem żywem, co je wszystkie w ręku dzierży, co związuje i rozwiązuje na ziemi, co szafuje łaską do zbawienia niezbędną. Być przeto może, iż piękna pani o spowiedniku myślała. Nie wchodzimy jednak w to. O czemkolwiek myślała ona, nie myślała długo, zaledwie bowiem w zadumanie się pogrążyła, aliści zaszła przeszkoda niespodziewana i wyrwała ją z niego. We drzwiach ukazała się panna Adela i przemówiła:

— Pani...

— Co?... — ocknęła się hrabina.

— Czy pani usposobioną jesteś przyjąć wizytę?...

— Czyją?...

— Księżna pani de Komora...

— Ciotka hrabiego?...

— Tak..

— Hm... — odchrząknęła hrabina, zaniepokojona nieco. Odemnie należy się księżnej wizyta pierwsza... Proś...

Panna Adela znikła i po chwili wkroczyła do komnaty istota, zasługująca w zupełności na nazwę czupiradła. Była to figurka mała, pękata, na twarzy mocno czerwona, z oczami wybałuszonemi, z nosem przypłaszczonym, szerokim i podwójnym, z ustami grubemi, na obliczu porosła niby puszkiem, który był nie puszkiem, ale mączką ryżową, czoło niskie, w plecach szeroka, w piersiach wzgórzysta, w pasie szeroka, odziana w aksamitną z długim trenem suknię, w mantylkę wełnianą naszywaną haftami, paciorkami i frendzlami, w kapelusz okwieciony i w klejnotów moc wielką. Wiek jej do odgadnienia był trudny; młodą wszakże nie nazwałby jej nikt, jak nikt również nie odmówiłby jej pretensyj wielkich, sądząc o niej z pierwszego oka rzutu. Weszła i z wielką do hrabiny, która na przyjęcie jej wstała, pogarnęła się skwapliwością.

— Otóż ty... owóż... — zaczęła zasapana trochę — owóż... Skorom się o przybyciu waszem dowiedziała, zapragnęłam wnet poznać ciebie... Ale cóż?... jak?... Pomyślałam sobie wnet: na śniadanie do niej pojadę... Zapraszam się... co?

Hrabina ze zdziwieniem niejakiem na gościa niespodzianego patrzała i, zanim się z odpowiedzią zebrała, wysłuchała wprzód słów następujących:

— Widzisz, bez ceremonii jestem, etykietę nogami depczę, ale mnie starej wolno niekiedy pomijać niektóre reguły towarzyskie... Ponieważ jestem bez pretensyi, więc wolno mi być bez ceremonii... Czy nie tak?...

— Ależ, księżno... — zaczęła hrabina.

— Przyjmujesz wproszenie się moje?

— Z przyjemnością jak największą...

— To dobrze... Przeczułam to... A teraz że — obejrzała hrabinę od stóp do głowy — pozwól powiedzieć sobie, żeś zachwycająca... zachwycająca... prześliczna...

— Księżno... — głosem protestu wtrąciła młoda kobieta.

— Prześliczna — wysapnęła księżna. Pozwól jeszcze powinszować sobie gustu... W sukni tej do twarzy ci...

Panie usiadły jedna obok drugiej.

— O jakże ci w sukni tej do twarzy, moja prześliczna!...

— Ależ, księżno... — zaczęła znów hrabina, chcąc zapewne zaprotestować przeciwko temu w oczy chwaleniu.

— Cicho bądź i pozwól mi nasycać się tobą... W moim wieku, tak jak bez

pretensyi już jestem, jestem mężczyzną prawie; płeć zaś nadaje mi prawa do otwartości zupełnej względem takich, jak ty klejnotów... Mężczyźni powiedzą ci to samo, o!... powiedzą... — powtórzyła, wpatrując się w hrabinę przymrużonemi oczami — tylko z preludyami i w nadziei epilogów... Ja nadziei żadnych, widoków na ciebie żadnych nie mam i mieć nie mogę, więc mówię ci wręcz, wprost i otwarcie: piękną jesteś... i dodam: niech cię to nie żenuje...

— Ale, skądże...

— Przybywasz z Krakowa; wychowałaś się na prowincyi, w klasztorze, nie dziw przeto, że z pięknością będzie ci u nas zrazu tak, jakby ci zawadzała... Uprzedzam cię o tem i, uprzedzając, przysługę ci oddaję...

— Dziękuję...

— Nie dziękuj... Wszak jesteśmy kuzynki... Hrabia... Ale — przerwała sobie, jemy dziś śniadanie razem?...

— Razem... — odpowiedziała hrabina, której trudno było wyraz jaki wtrącić, gdy księżna mówiła.

— Każ-że go uprzedzić, że będę spółbiesiadniczką waszą...

Hrabina dotknęła się guzika i wnet we drzwiach pojawiła się panna Adela. Pojawiła się i znikła, skoro rozkaz usłyszała.

— Mała Adela... — rzekła księżna — *elle est gentille...*

— Zaprawdę... — odrzekła hrabina.

— Podoba ci się?...

— Bardzo...

— Podziękuj-że mnie... Samam ci ją wybrała po długiej z matką Modestą naradzie, na której chodziło nam głównie o to, ażebyś miała obok siebie istotę, którąby neutralizowała hrabiego.. O... — dodała z uśmiechem filuternym — bo wieść o piękności twojej doszła mnie zdawna... A piękność staje się niekiedy kobiecie ciężarem, wobec... męża... Zdarzają się wypadki takie, że mąż rozmiłowuje się w żonie własnej... Ta biedna, naprzykład, wicehrabina de la Pondrive; ale... opowiem ci o tem później... Owóż, wybrałam dla ciebie małą Adelę; jest dosyć ładniutka, jest dosyć dzika, posiada i pazurki, i ząbki, i szafirowe oczęta, i karminowe uścięta... pojętna przytem i wykształcona wszechstronnie... Nie będziesz potrzebowała powiadać jej: to tamnica... potrafi ona tajemnicę od nietajemnicy odróżnić, na wszelakie bowiem tajemnice posiada wpływ w uchu spowiednika mego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

J. NITOWSKI.

OSTATNI DZIEŃ ARKONY.

(Rzecz dzieje się na wyspie Ranie
w roku 1168).

(Ciąg dalszy).

Arcykapłan (sam).

Chciałbym cię przekląć, ludu nieszczę-
[śliwy,
Lecz słowa klątwy na ustach konają.
Widzę już, widzę wrogów z mieczem
[w dłoni,
Spalone lasy, krwią zalane niwy
I sioła; widzę, jak przed wrogów zgrają
Naród błagalnie wyciąga ramiona
I z piersią strzaskaną
Kona...
O Rano, Rano!
Gdzie dzieci twoje, gdzie twoje bogi?...
Wszystko skonało,
Nawet i bogi.
Widzę zgliszcza, kości, ciało,
Nie widzę ducha.
Słyszę jakiś jęk złowrogi:
Może to pierś Swantewida
Wydała okrzyk rozpaczy,
Że naród głosu jego już nie słucha,
Że już moc boga na nic się nie przyda...
Wiem, co to znaczy!
Naród mój kona powoli,
Nie jak bohater pod mieczem wroga,
Lecz na straszliwą chorobę ducha,
Umiera z rany, co najbardziej boli,
Bo z upodlenia własnego — rany.
Czyżby umarła również i moc boga,
Co zdolna skruszyć narodów kajdany
I lud powołać do zmartwychpowstania?
Nie. Wierzę w ciebie, Swantewidzie, boże,
W opiekę twoją, co ludy osłania!
Idę zmyć łzami święte twe podnóże,
Błagać u ciebie dla ludu
Łaski... litości... cudu.

(Wychodzi).

(Grota wróżki, wykuta w skale nad brzegiem morza. — Wróżka siedzi u wnijścia zamyślona, patrząc na morze. — Przed nią wygasłe ognisko i popioły, na których widać porysowane laseczką linijki w różnych kierunkach).

Wróżka.

Lubię ten groźny, posępny ryk morza,
Majestatyczny, jak jęki stulecia,
Gdy panująca nad światem dłoń boża
W piersiach narodów pożary roznieca.
Lubię szum wiecznie burzącej się fali,
Walczącej z wichrów północnych prze-
[mocą
W świetle błyskawic, które tam w oddali
Na tle chmur czarnych gromowych mi-
[gocą.
O morze, wielkie, niezmierzone morze!
Tyś wiecznej walki i siły obrazem;
Ja duchem swoim przed tobą się korzę,
Lękam się ciebie i wielbię zarazem.
Ty, wiecznie rycząc i burząc się wiecznie,
Chłoniesz w swe głębie najeźdźców o-
[kręty;
Człowiek cię spętać pragnie bezskute-
[cznie:
Duch twój, jak wielkich ludzi duch, do-
[tknięty
Dłonią brutalnej i nikczemnej mocy,
Dumny i wielki w swym bolu bez końca,
Zwolna zstępuje do własnej głębiny
I tam wytwarza wśród powszechnej nocy
Nowe błękity, i gwiazdy, i słońca.
Tak na dnie twego zaklętego łona
Kryją się perły, konchy i bursztyny,
A ty wciąż baczysz, aby dłoń skrwawiona,
Ludzka dłoń skarbów nie wydarła tobie.
Głąb twojej piersi dotychczas nie tknięta,
Zawsze ją strzeżesz przed ciekawych
[wzrokiem
I, zawsze krusząc niewolnicze pęta,
Przed nikim czoła nie schylasz w pokorze,
I zawsze jesteś potężnem, głębokiem
I dumnem takiem.
Kocham ciebie, morze!
Za to, że ludzie wciąż twych sił się boją,
Za tę dziewiczość, za tę dumę twoją,
Za twe głębiny kocham ciebie, morze!

(Wchodzi Jaromir na czele tłumu).

Cóż to? Szkielety do mnie się zbliżają?
Ile tu trupów, czuję zapach trupi!
Czego chcesz, książę, odemnie z tą zgrają?

Jaromir.

Wróżby i rady.

Wróżka.

Gdy na Ranów ziemi
Tłum wrogów żądnych waszej krwi się
[kupi,
Wy przychodzicie do mnie, do kobiety
Bezsilnej, szukać jutra przepowiedni.
Gdzie wasze strzały z grotami ostremi,
Gdzie miecze wasze i ostre sztylety,
Gdzie męstwo waszych dziadów, ojców,
[biedni?

Jeden z tłumu.

Poczynaj wróżby i milcz, ty, przeklęta!

Wróżka (patrząc na porysowane linijki w popiele).

Wy chcecie wiedzieć, co was jutro czeka?
Trwożni, wyczytać chcecie na mej twarzy
Wolności zorzę lub niewoli pęta.
I cóż wam powiem? Jako te popioły,
Burze was nędznych rozniosą po świecie,
Na ustach skona wam uśmiech wesoły,
A pędząc życie bezdomne, tułacze,
Igraszką w rękach narodów będziecie;
Nikt wam przyjaznej nie wyciągnie ręki
I nikt nad waszym losem nie zapłacze,
Boście bezsilni, skazani na męki.
Na waszej ziemi wróg wasz się rozgości
I was zamieni w niewolniki swoje,
W piersi wam uczuć ostatki wyziębi,
Ażeby kiedyś z waszej krwi i kości
Nie powstał mściciel. Na waszej mogile
Wróg nowym bogom postawi świątynie
I na ich szczycie zatknie złote krzyże,
Które urągać będą wszelkiej sile,
I pamięć o was tak szybko przepłynie,
Jako ta fala, co w tej oto chwili
Z jękiem podnóża czarnych skał tych liże.

Jaromir.

Ratuj nas, wróżko!

Wróżka.

I na cóż się przyda
Ratować trupy, cóż po trupach światu?

Głos z tłumu.

My żyć pragniemy!

Wróżka.

Wyrok Swantewida
Zawisł nad wami: wy umrzeć musicie.

Głosy z tłumu.

Zabijmy wróżkę, co nieszczęście wróży!

(Dobywają mieczy).

Wróżka.

Zabijcie wróżkę, wam teraz należy
Mordować wszystkich, co brzydzą się [wami
I śmiało klątwę ciskają wam w oczy.
Nim ostateczny grom z nieba uderzy,
Mordujcie wszystkich, co mówią wam [śmiało,
Że podłość ducha waszego już toczy,
Że w waszem pustem strupieszałem łonie
Wszystko, co dobre, już dawno skonało.
Wam, co żyć chcecie, ja, wróżka, wam [radzę
Wszystkich, co jeszcze w piersiach prze- [chowali
Ostatki męstwa, wymordować razem,
Ażeby dręczyć was nie było komu,
Abyście senni spokojnie konali
Pod ostrem wrogów żelazem,
Bez świadków sromu.

Głosy w tłumie.

Precz, precz! Na czole twojem śmierć [widzimy.

Wróżka.

Dla was, co życia pragniecie, zapewne
Strasznym jest obraz śmierci na mem [czole?

Jaromir.

Wstyd nam kobiecej głupiej słuchać [mowy.

Głos w tłumie.

Chodźmy stąd! Mężom rozsądek przystoi.

Wróżka.

Idźcie! Idź, książę, i przed Waldemarem
Wraz z ludem swoim schyl pokornie [głowę
I powiedz, niechaj bezpiecznie przychodzi
Bez miecza w ręce i nawet bez zbroi,
Tylko niech z sobą kajdany zabierze.
Idź, książę trupów, daj świadectwo sobą,
Że dawni Rany obrońcy — rycerze
Dziś służalcami być tylko są zdolni;
Powiedz królowi, jeśli się nie brzydzi
Trupów widokiem, niech prędzej przy- [chodzi
Wszystkich was razem wrzucić do swych [łodzi,
By wami w kraju, gdzie są jeszcze wolni,
Użyźnić pola, nim podłość, jak robak,
Na wskróś obrzydłe wasze cielska stoczy.

Jaromir.

Szaleje! Patrzcie, jaka straszna, groźna
Twarz jej, jak pełne obłędu jej oczy.
Chodźmy stąd prędzej!

(*Wychodzi a za nim tłum cały*).

Wróżka (sama).

Biedny mój narodzie!
Chciałabym wszystek ogień mego łona
Przelać w twe piersi, straszne swą ruiną,
Chciałabym tobie ducha mego siłą
Wlać życie nowe w konania godzinie,
By męztwo ojców w twej piersi ożyło,
Póki nad głową twoją nie przepłyną
Zniszczenia fale.
Niebawem dzień minie,
Mego narodu życia dzień ostatni!
I cóż pomogę ja, wróżka szalona?
Na ustach trupów pocałunek bratni,
Gdy w mękach naród mój skona,
Z zarodem życia położę,
By zmartwychwstania iskrę wlać w po- [pioły.
Nie. — To się na nic nie przyda:
Narodu, ducha nic wskrzesić nie może,
Oprócz samego ducha i narodu.
Ale mój naród nie wskrzesi sam siebie:
W nim już skonała wiara w Swantewida,
Z nią męstwo przodków i miłość prze- [szłości.
Naród, co w piersi swojej raz pogrzebie
Najdroższe uczuć i myśli pamiątki,
Naród, co szyję swą okuł w obroże,
Naród, z którego zostały dziś szczątki,
Czyż zdolny wskrzesić sam siebie,
Czy żyć powinien i może?
Brzydzę się ludźmi takimi bez ducha!
Ja klątwę ciskam w głąb twojego łona,
Książę i tłumie nikczemny! Niech słucha
Niebo i ziemia i bóg konający,
Jak ja, wróżka rozżalona,
Klnę tłum ten cały. że zabił swą duszę...
O, bądź przeklętym, ty, tłumie umarły,
Za to, że teraz ja ciebie kląć muszę!
Gdy wrogi spokój ojczyźnie wydarły,
W tobie zbawienia chciałam ujrzeć zorzę,
Lecz się zawiodłam... O, po waszym [zgonie,
Ranowie, z trupów waszych stos ułożę
I gromem z nieba podpalę.
A gdy stos ogniem zapłonie,
Na ustach uśmiech błyśnie mi wesoły
I straszny razem; ryknął morskie fale,
A ja w tym ryku kląć będę popioły

I pamięć waszą, i bóg mi przebaczy
Te klątwy straszne, straszny głos rozpaczy.

(Wybiega).

(Namiot królewski w obozie duńczyków. — Waldemar, ksiądz, potem Harold).

Waldemar.

Niebawem Harold z poselstwem powróci.
Ciekawym, jakie przyniesie mi wieści.
Miał właśnie złoto i postrach rozsiewać
Między Ranami, by do uległości
Dla nas ich zmusić. Czy naród odrzuci
Warunki moje, jak ty sądzisz o tem,
Księże?

Ksiądz.

To naród słaby i zepsuty;
Niegdyś był dzielny, ale dziś w nim gości
Niezgoda, straszne zepsucie i zdrada;
Ten naród da się dziś przekupić złotem
I za twym wozem w kajdanach okuty
Pójdzie spokojnie.

Waldemar.

Takim ludom biada.

Ksiądz.

Nadchodzi Harold, słuchajmy, co powie.

Waldemar.

I cóż, Haroldzie, co mówią Danowie?

Harold (wchodząc).

Złoto twe, panie, zamknęło im usta.

Waldemar.

Nędzni. Więc wszyscy przekupić się dali?

Harold.

Jednych blask złota, a drugich blask stali
Naszej uczynił posłusznymi tobie.
Najśmielsi nawet z nich bledli jak chusta
Na jedno twego imienia wspomnienie
I na szczęk naszych oręży.

Waldemar.

Co myślisz o tym narodzie?

Harold.

Że trwoga
Pierś im napełnia, temu się nie dziwię;
Bo któż nie zadrży przed naszą potęgą?
Alem nie sądził, by tak rańskich męży
Chęć złota łatwo do zdrady zawiodła.

Waldemar.

Nad tym narodem wyrok śmierci cięży.

Ksiądz.

Umarłych znowu do życia obudzi
Znak naszej wiary, Chrystusowe godła.

Waldemar.

Lecz to już będzie inny naród zgoła,
W którym z dzisiejszych nie zostanie ludzi
Nic. Już ten naród, z naszą krwią zmie- [szany,
W nas się przerodzi.

Harold.

Niech żyją duńczycy,
Co śmierć i mordy roznoszą dokoła
I kują ludy ościenne w kajdany!

Waldemar.

I gardzą ludem, co zdradą się plami.

Harold.

Potężny kraj nasz.

Waldemar.

Wielki.

Ksiądz.

I Bóg z nami.

Rycerz duński (wchodząc).

Posłowie Ranów przybyli.

Waldemar.

Niech wejdą.

(Rycerz wychodzi i wchodzą posłowie).

Harold (do Waldemara).

Wszyscy na łaskę twoją, królu, liczą.

Waldemar (do posłów).

Mówcie!

Poseł 1-szy.

Nasz książę przysłał ci powiedzieć,
Że naród Ranów widzi w tobie męża,
Przed którym czołem pokornie uderza.

Poseł 2-gi.

Kraj nasz — to twój kraj.

Poseł 3-ci.

Za ciebie, o panie,
Każdy z nas z pochwy dobędzie oręża
I walczyć będzie, póki sił mu stanie.

Waldemar.

Walczyć! Chybabym z mojego pancerza
Ukuł wam serce stalowe.
Powiedzcie księciu swojemu, że jutro
Ledwie dzień błyśnie przyszlę do Arkony

Rycerzy swoich; gród poddać się musi,
Jak kraj wasz cały. Daremnej obrony
Radzę zaniechać. Znacie moje siły.

Poseł 1-szy.

Grodu naszego i nawet świątyni
Przed tobą, królu, drzwi otworem stoją.

Waldemar (do Harolda).

Rzuć im garść złota! Niech idą z powrotem.
(Posłowie wychodzą, otrzymawszy pieniądze od Harolda).
I jakaż dla mnie sława pozostaje?
Nie męztwem, mieczem, lecz świecącem [złotem
Całą tę nędzną zwyciężyłem zgraję.

Harold.

A czyż cię, panie, kto o to obwini,
Że nie użyłeś oręża, gdy można
Czem innem walczyć? Cóż światu do tego,
Jakim orężem zwycięzcy walczyli,
Byleby tylko odnieśli zwycięstwo.
Przekupstwo, zdrada, jak dzielność i mę- [stwo,
Jest również dobrą bronią w każdej chwili.

Waldemar.

Tylko zwycięzcom, nie zaś zwyciężonym
Można się imać przekupstwa i zdrady,
Prawda, Haroldzie?

Harold.

Takie prawo świata.

Waldemar (do księdza).

Jak myślisz, księże, dokąd po skonaniu
Pójdzie ten naród: do piekła, czy nieba?

Ksiądz.

Kto przed skonaniem ujrzał światło wiary,
Po śmierci, królu, zbawionym być może.

Waldemar.

A cóż im w niebie rzekną ich przodkowie,
Gdy na ich szyjach zobaczą obroże,
Gdy hańba czoło, jak wąż im okoli?
Cóż cieniom przodków każdy z nich od- [powie,
Gdy zapytają o Ranę? Nie, księże,
Mnie się wydaje, że pomimo woli
Boga ojcowie wyrzekną się dzieci,
Z których krew ojców mężnych już wy- [ciekła,
Którym na czole piętno hańby świeci;
Takich ojcowie wyrzekną się dzieci,
Strącą ich z nieba na samo dno piekła.

Ksiądz.

Płaczmy nad nimi.

Harold.

Gdzieś ty słyszał, księże,
Aby kto płakał nad zwyciężonymi?
Czyż wart litości ten, kto zwyciężony?

Waldemar (do Harolda).

Niechaj rycerze opatrzą oręże,
Jutro o świcie pod wały Arkony!
(Wychodzi).

Ksiądz.

A ja dziś jeszcze biorę krzyż do ręki
I, jak wskazuje mi powinność święta,
Idę chrzcić lud ten w imię bożej męki.
(Wychodzi).

Harold.

Ja zaś wychodząc biorę miecz i pęta.
(Ciąg dalszy nastąpi).



KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Z. Gabryelski. Czem filozofia jest, a czem będzie Kraków 1894 r.

Czem filozofia jest obecnie — nie łatwo na to odpowiedzieć, trudniej jeszcze, czem będzie w przyszłości. Jakoż można pozazdrościć autorowi odwagi, z jaką przystępuje do rozwiązania zagadnienia, nad którem tylu filozofów pierwszego rzędu napróżno się mozoliło. Odwaga ta zaostrza naszą ciekawość — i z pewną niecierpliwością zabieramy się do odczytania pracy autora, spodziewając się, że gdybyśmy nawet nie znaleźli w niej ostatecznego rozwiązania zagadki, to spotkamy się w niej przynajmniej z niejakiemi wskazówkami, które nam ją rozjaśnią pod wielu względami. A chociaż to stanowcze: czem będzie, zawarte w tytule dzieła, zarówno, jak i niektóre jego rozdziały, brzmiące: moja odpowiedź na to pytanie, rażą nas swą pretensyonalnością, opieramy się doznanemu wrażeniu i w owej pretensyonalności, zakrawającej nieco na reklamę, upatrujemy nie zbytnią zarozumiałość autora, lecz po prostu pewną niezręczność wysłowienia się. Nie zrażamy się także licznemi i sążnistemi cytatami, któremi autor przeładował swe dość szczupłych roz-

miarów dziełko, tłumacząc to jego przeładowanie nie chęcią popisywania się z erudycyą, ale pewnego rodzaju manierą, zapożyczoną od niemieckich pisarzy, którzy nią głównie się odznaczają.

Rzecz swą rozpoczyna autor od przytoczenia słów J. Śniadeckiego, w których nasz astronom występuje ostro przeciwko owej filozofii, co się opiera na urojeniach, na słowach niezrozumiałych, na sekciarskich mniemaniach mylnych i wątpliwych, żądając natomiast, ażeby swą budowę zakładała na wiadomościach rzetelnych i dobrze zgruntowanych, na prawdach jasnych i niezaprzeczonych. Jakkolwiek powyższe uwagi mogą się wydać komu niewczesnemi, gdyż w samych Niemczech filozofia oddawna weszła na inne tory, niż jakiemi kroczyła za czasów Śniadeckiego, niemniej jednakże, jako zapowiedź stanowiska, z jakiego autor zamierza rzecz swą rozważać, mają one swe znaczenie; tembardziej, że nie wszystkie kierunki współczesnej filozofii odpowiadają w równej mierze wymaganiom, przez Śniadeckiego wypowiedzianym.

Czy autor w swej pracy rzeczywiście czyni zadość owym wymaganiom, czy spełnia on to, co jego zapowiedź zdawała się przyrzekać, a mianowicie, że będzie się trzymał wiadomości rzetelnych i dobrze zgruntowanych, a unikał mniemań wątpliwych i słów niezrozumiałych? Po bliższem rozpatrzeniu się w pracy autora, musimy z niemałym smutkiem dać odpowiedź ujemną. Z jego twierdzeń i wywodów niepodobna wyprowadzić pewnego wniosku co do tego, jakiem jest stanowisko, z którego autor zapatruje się na zadania filozofii. Odpowiedzi jego na postawione przez się pytania są tak sprzeczne, że nie wiadomo, którą z nich mamy uważać za właściwą. Co więcej, wypowiedziane są w sposób tak ogólnikowy, że trudno ostatecznie wyrozumieć, o co w nich chodzi, i wszelkie usiłowania czytelnika, ażeby je jakośkolwiek pogodzić z sobą, spełzają na niczem. Świadczy to wymownie, że autor sam nie ma jasnego pojęcia o rzeczy, że zabrał się do niej z pośpiechem, nie przetrawiwszy w sobie wszystkiego dokładnie i obdarzając czytelników błyszczącemi liczmanami, każe im wierzyć, że to są dukaty ze szczerego złota.

Nie będziemy oprowadzać czytelnika po wszystkich manowcach, któremi autor podąża do zamierzonego celu. Drogi te, najeżone licznemi cytatami, utrudniającemi znacznie śledzenie myśli autora, są zbyt nużące, a zarazem żadnego interesu nie nastręczają. Do tego samego celu można byłoby się dostać drogą znacznie krótszą i o wiele dogodniejszą. Zresztą nie tyle nas obchodzą zachody autora, ile owoce jego zachodów. Dlategoż, nie zwlekając dłużej i nie bawiąc się w dalsze omawiania, przystępujemy wprost do rzeczy.

Pomijamy odpowiedź autora na pytanie: czem jest filozofia obecnie. Nie zawiera ona w sobie nic nowego. Zastanowimy się wyłącznie nad drugą jego odpowiedzią, sięgającą w przyszłość, dającą nam poznać, czem filozofia będzie. Do tej odpowiedzi i on główną wagę przywiązuje i dla nas ma ona pierwszorzędne znaczenie.

Z powagą człowieka, obwieszczającego światu nową prawdę, powiada autor, że filozofia w przyszłości będzie metafizyką. Czy autor szczerze uważa tę prawdę za swój wynalazek? Zdaje się nam, że gdyby mu przyszło żądać nań patentu, spotkałby się on z wielkiemi trudnościami w otrzymaniu go. Prawda powyższa oddawna cieszy się powszechnem uznaniem między filozofami angielskimi, a nie brak jej zwolenników także i wśród filozofów innych narodowości, nie wyłączając nawet niemieckich. Przypuśćmy jednakże, że jest ona wyłączną własnością autora. W takim razie musiałby on nam dać wyjaśniającą odpowiedź na pytanie, co należy rozumieć przez metafizykę? Jakoż daje on nam ją istotnie. Podług niego metafizyka nie jest czem innem, jak teoryą poznania. Bardzo dobrze. Szkoda tylko, że i ta odpowiedź nie jest tak nową, ażeby autor miał prawo o niej powiedzieć: »jest ona moją«. Na wiele lat przed nim Kant ją wygłosił — i dzisiaj wszyscy wyznawcy tak zwanego krytycyzmu nie inaczej zapatrują się na zadanie filozofii, a względnie metafizyki. Lecz mniejsza o to. Chodzi tu o coś ważniejszego, o to mianowicie, jak z tą odpowiedzią, dotyczącą zadania filozofii, pogodzić wymaganie, któremu przyszła filozofia, jak żąda autor, ma zadośćuczynić? Zadaniem filozofii, powiada on, jest pogodzenie wiedzy i wiary (?), zaspokojenie rozumu i serca.

Zanim się zastanowimy bliżej nad tak sformułowanem zadaniem filozofii, niech nam

wolno będzie zwrócić uwagę autora, że pierwszym obowiązkiem pisarza, zabierającego głos w zagadnieniach naukowych, jest nie tylko ścisłość rozumowania, ale i ścisłość wyrażania się. Używa on wyrazu wiara zamiast religia. Religia opiera się na wierze, ale jej nie wyczerpuje, wiara jest również jednym z czynników poznania. Tak samo niewłaściwem jest używanie »serce« zamiast »uczucie«, jakkolwiek zwyczaj ten w potocznej mowie jest uświęcony.

Autor, zestawiając w powyższem sformułowaniu zadania filozofii dwa takie wymagalniki, jak: pogodzenie wiedzy i religii i zaspokojenie rozumu i uczucia, zdaje się upatrywać główną przyczynę zatargu między wiedzą a religią w przeciwieństwie, jakie zachodzi między rozumem a uczuciem, uważając zapewne, że rozum a uczucie są władzami duszy, o tyleż od siebie niezależnemi, o ile mózg i serce są niezależnemi narządami ciała. Czy takie jest istotnie zapatrywanie autora — trudno na to coś pewnego odpowiedzieć. W każdym razie musimy zaznaczyć, że tego rodzaju zapatrywanie nietylko nie zgadza się z najpierwszemi zasadami psychologii, ale nadto jest wręcz przeciwne pojęciu, jakie autor przywiązuje do wyrazu filozofia, rozumiejąc przezeń teoryę poznania, która o tem, ażeby rozum miał stosować się do uczucia, zgoła nic nie wie i nic nam nie powiada. Powyższe zapatrywanie nie jest niczem innem, jak prostem streszczeniem wszystkich owych deklamacyj przeciwko rozumowi i jego wszechwładztwie, z jakiemi spotykamy się tak często nietylko w codziennem życiu, ale i w tak zwanej literaturze popularnej — deklamacyj, których ostatecznym sensem jest to, że uczucie jest głównem źródłem prawdy i że w niem powinien rozum czerpać natchnienie dla siebie.

Otóż psychologia czego innego nas uczy. Wykazuje ona nam dowodnie, że uczucie bynajmniej nie jest jakąś władzą poznania, że niezgodność rozumu z uczuciem pochodzi nie z winy rozumu, ale uczucia.

Uczucie jest stanem czysto podmiotowym, nic więcej nie oznaczającym, jak to, że zachodzące w naszej świadomości zmiany są przyjemne albo przykre. Ale dlaczego są one przyjemne i przykre i jaka jest ich przyczyna — tego uczucie nie wie i nic nam o tem nie powiada. O tem wszystkiem poucza nas dopiero rozum, kierowany doświadczeniem. Za jego pomocą dowiadujemy się, że dwie są przyczyny naszych uczuć — wrażenia zewnętrznego świata i wrodzone skłonności i popędy.

Każdemu wrażeniu odpowiada jakieś uczucie, mniej lub więcej przyjemne albo przykre, stosownie do tego, o ile się zgadzają lub niezgadzają z warunkami zmysłowego postrzegania bądź pod względem ilościowym, bądź jakościowym. Uczucia pierwotne, towarzyszące postrzeżeniom zmysłowym, ulegają stopniowej przemianie wraz z przemianą postrzeżeń na wyobrażenia i pojęcia, które, pozbywając się coraz bardziej swej treści konkretnej, stają się jednocześnie coraz więcej obojętnemi.

W tym samym czasie na tle wrodzonych usposobień i popędów powstają uczucia z razu nieokreślone, które, w miarę rozwoju fizycznego i umysłowego, nabierając coraz większej potęgi, kojarzą się z odpowiedniemi wyobrażeniami i pojęciami — i występują, jako pewne, świadome siebie potrzeby i pragnienia, stając się w ten sposób głównemi pobudkami naszego działania. Uczucia tego rodzaju stanowią treść naszej indywidualności, podstawę naszego charakteru. Związane z naszemi potrzebami i pragnieniami, posiadają one znacznie większą siłę, niżeli uczucia, biorące swój początek od wrażeń zewnętrznych, i dlatego zapanowują nad niemi i nadają im kierunek, nie zawsze zgodny z ich naturą. Kojarząc się z wyobrażeniami i pojęciami odpowiedniej sobie natury, nadają im moc, której nie mogą sprostać wyobrażenia i pojęcia, nie mające bezpośredniego stosunku z naszemi potrzebami i pragnieniami. Następuje niezgoda pomiędzy rozumem a potrzebami i pragnieniami, niezgoda, której ofiarą pada najczęściej rozum.

Taka jest natura niezgodności uczucia i rozumu. Przyczyna jej leży nie w rozumie, ale w uczuciu, w panujących namiętnościach, którym rozum podołać nie może.

Wobec takiego stanu rzeczy co może począć filozofia, chociażby w najobszerniejszem znaczeniu pojęta? W jaki sposób ma ona zaspakajać jednocześnie rozum i uczucie, kiedy ich wymagania bywają nieraz wręcz sobie przeciwne? Codzienne doświadczenie nas uczy, że kiedy rozum wskazuje nam pewne drogi postępowania, jako jedynie

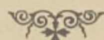
słuszne i pożyteczne, to uczucie sprowadza nas częstokroć na inne, które nietylko są przeciwne wyznawanym przez nas zasadom, ale z własnym naszym interesem bywają niezgodne. Pewne zapatrywania i teorye mogą odpowiadać wszelkim wymaganiom rozumu, a pomimo to odrzucamy je ze wstrętem dlatego, że są przeciwne pojęciom i wierzeniom, z któremi najżywotniejsze nasze uczucia skojarzyły się i w nich znajdują dla siebie jedyny punkt oparcia.

Zadaniem filozofii, jedynem, któremu ona może zadośćuczynić, jest godzenie rozumu i wiedzy, myślenia z rzeczywistością; narzucać jej inne role, jest to zapoznawać jej naturę; żądać od niej, ażeby godziła rozum i serce, jest to wkładać na nią obowiązki, którym podołać nie może i które należą właściwie nie do niej, lecz do pedagogii. Chodzi tu bowiem o to, w jaki sposób za pomocą wychowania, tresury, dają się stłumić skłonności i popędy, niezgodne z rozumem, a jednocześnie rozwinąć i wzmocnić te, które są godziwe i pożyteczne.

Wykazawszy bezpodstawność pierwszego wymagalnika, zastanówmy się z kolei nad drugim, którym jest: filozofia powinna godzić wiedzę z religią.

Historya nas uczy, że niejednokrotnie podejmowane były przez filozofię próby pogodzenia wiedzy i religii — i że te próby spełzały na niczem. Pierwszą z nich była średniowieczna nauka o podwójnej prawdzie, przeciwko której protestują najżywiej tak rozum, jak i uczucie, widząc w niej bezmyślność i obłudę, i która zawdzięczała chwilowe swe panowanie ówczesnym stosunkom, zmuszającym rozum ludzki do wybiegów, zapewniających mu jaką taką swobodę. Druga próba polega na rozgraniczeniu rzeczy poznawalnych i niepoznawalnych, z których pierwsze mają być przedmiotem wiedzy, drugie — religii. Że i ta próba powieść się nie mogła i nie może, łatwo zrozumieć. Ścisłej granicy niepodobna przeprowadzić między światem poznawalnym a niepoznawalnym. Jakoż widzimy, że wiedza w miarę rozszerzającego się zakresu doświadczenia wkracza coraz głębiej w dziedzinę, którą religia uważa za swoją; z drugiej strony religia, korzysta z każdej luki napotykanej w wiedzy i przeciska się do jej wnętrza, usiłując podważyć ją w najistotniejszych jej zasadach. Co się tyczy próby trzeciej, jaką jest tak zwana filozofia chrześciańska, to w niej nie tyle chodzi o pogodzenie wiedzy z religią, ile raczej o ustalenie panowania religii nad wiedzą.

Wszystkie te próby, jak dotąd niepomyślne, powinnyby w końcu przekonać filozofię raz na zawsze, że nie do niej należy godzenie wiedzy i religii, które w obecnych warunkach pogodzić się nie dają. Zgoda ta może się ustalić tylko siłą wypadków dziejowych, które zmienią do niepoznania dzisiejsze warunki tak polityczne, jakoteż społeczne i zapewnią zupełną swobodę sumienia każdej jednostce, pozostawiając jej samej obowiązek urządzania swego stosunku do świata transcendentalnego. *Władysław Kozłowski.*



ECHA POLSKIE.

Centowe składki.

U nas każda akcya, podjęta nawet w najszlachetniejszym celu, nosi na sobie cechę pewnej chorobliwej zapalności — *newrozy.* Rozpalamy się i do czerwoności łatwo, niemniej przecież i prędko stygniemy; to też chyba w żadnem społeczeństwie nie napotyka się na tyle żużli pracy i usiłowań społecznych i narodowych, jak u nas. Śluby od wieków nie wypełnione, fundacye od pokoleń nie wchodzące w życie, pomniki stawiające się od lat, dymiące kagańce oświaty — a ponad tem wszystkiem powstające nowe stosy projektów, które jak kurze jaja idą do wylęgarni... na maszynę drukarską.

W ostatnich czasach, za przykładem pobratymców, wzniosłe hasło *„Viribus unitis“*, które dotąd widniało tylko na srebrnych guldenach, zaczęto i u nas stosować do zdawkowej monety. Powstały zatem towarzystwa tak sympatyczne, a przytem z programem wyraźnym, z góry oznaczonym, zrozumiałym dla ogółu, jak np. »Szkoły ludowej«, że nic dziwnego skoro na samym wstępie spotkały się one z życzliwością i otwartą kieszenią... Powodzenie to dało impuls do coraz to nowszych projektów. Zaczęto więc lepić garnki, stawiać puszki, drukować listy i książeczki centowe. Ale w tej gorączkowej, zapewne że i szlachetnej, ro-

bocie pamiętano tylko o jednym otworze, którędy miano wrzucać jak najwięcej grosza, a zapomniano częstokroć o drugim, którym ma ten grosz wychodzić.

Wizerunek Kościuszki, widok Wawelu, nie miedzianymi zgłoskami są wypisane w pamięci narodu, ale to też takie insygnia, powinny być ostrożniej i świadomiej wynoszone. Mamy z tego powodu pewien żal do Tow. im. Kościuszki, że ono pierwsze wstąpiło na tę drogę, i to nie dla tego, abyśmy się obawiali, że zebrany fundusz nie będzie odpowiadał intencyom fundatorów, ale dla tego, że łatwo na przyszłość stać się może precedensem do załatwiania spraw tego rodzaju w ten sposób. Już cały obrót, jaki bierze myśl odrestaurowania Wawelu, krzyżujące się coraz to nowsze projekty, a przytem zupełna nieświadomość sposobu przeprowadzenia tej myśli i, w przybliżeniu choćby, obliczenia mającej się zebrać kwoty, żywo przypomina nam powiastkę »O złotym sercu i pozłacanej głowie«. Do urzeczywistnienia takiego projektu nie wąską drożyną, ale szerokim gościńcem i bez pokątnych przewodników!...

Jest przecież jeszcze druga ważna przyczyna, która również wymaga zastanowienia, abyśmy przypadkiem nie mieli do czynienia z hiperprodukcją różnych projektów, do urzeczywistnienia których, potrzebne są miliony, zebrane centowymi składkami. Kto tylko zna naturę naszego społeczeństwa, ten przyzna, że taka droga do zbudzenia ofiarności publicznej łatwo może stać się narkotykiem, który w większej dawce podany może je znieczulić. Między nami wielu jest takich nerwowych, którzy i setkę papierową rzucą na tacę np. po dobrym obiadku, ale nie zniosą długo brzęczącej puszki za sobą, do której by im przyszło rzucać przed obiadem po cencie... Liczyć się więc i z tem należy, że skoro puszki te brzęknąć mają nie tysiąc razy srebrnym oddźwiękiem, ale miliony razy miedzianym — to temu dźwiękowi towarzyszyć będzie niedługo zgrzytanie w tym rodzaju: »Opędzić się nie można«. A na tem ucierpią nie tylko nasze panie Afrykanki — bo to by było najmniejsze zło jeszcze, ale i te wszystkie towarzystwa, które mają czucie na tropikalne upały swojskiej biedy, czarną dolę i ciemnotę naszego ludu.

* * *

Zlot Sokołów polskich.

Wydano komendę z głównego sztabu.. »Śmiałym a pewnym krokiem naprzód!« Temi słowami wzywa Wydział Związkowy całą drużynę sokolą na II. Zlot do Lwowa. Zlecą więc klucze z gniazd podkarpackich, z nad Wisły, Czeremoszu, od Czerniowiec do Cieszyna przesunie się po torze kolejowym, czerwona wstęga tych piersi, co powiadają z zapałem:

»Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat
Na nowe go pchniemy koleje«...

Dwa wiersze, złączone są w marszu sokolim razem, zdaje się, że poeta wypisał je jednem pociągnięciem pióra, a jednak w życiu jak daleko stoją one obok siebie, ile czasu, wysiłków i prób wyczytać należy w tym międzywierszu. Idea sokola wzięła sobie za zadanie: »śmiałym a pewnym krokiem« odbyć ten marsz — na drodze do tego celu mamy się po raz drugi spotkać ze zwartym i karnym szeregiem tych piechurów... Czekamy więc na nich, aby ich zliczyć, zważyć, i siły ocenić.

Trudno żądać w tak krótkim czasie, aby ta drużyna, wojażowała już po świecie »nowemi kolejami«, zaprzeczyć jednak trudno, że potrafiła już wnieść do społeczeństwa naszego pewien element życia, świeżości i zapału... Początek zatem marszu, pierwszy wiersz jego zdobywa przebojem. Czy karność, czy godność, wytrwałość towarzyszą tej pracy — niech sądzą o tem jej przewodnicy; dla nas, z drugiego Zlotu ten moment będzie najważniejszy, skoro w nowo zaciężnych szeregach zobaczymy już więcej »druhów« z innych warstw, nie tylko z inteligencyi samej. Gdy to zobaczymy, w rozwoju sokolstwa polskiego nie dopatrzymy się ścieśnionych granic widnokręgu, ale otwarte i szerokie pole na oścież.

To oko zmierzy was i na boisku — a »czołem«! wtenczas tym gniazdom sokolim, które je najdzielniej potrafią wytrzymać.

* * *

P. Bosse powiedział prawdę.

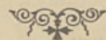
Lojalna praca pp. Kościelskich i spółki w sejmie niemieckim została, jak wiadomo, sowicie wynagrodzona. — Pogodzony już ze swoim kolegą i spólniemcem, Giersem, p. minister Bosse dał należytą odprawę *anarchicznym* roszczeniom posłów, domagających się,

ażeby Polakowi wolno było mówić po polsku — a sam sejm jeszcze należyciej odesłał *ad akta* wniosek Mottego, o zniesieniu komisyi kolonizacyjnej. Przytem szanowny pan Bosse wypowiedział niechcący wielką prawdę — to mianowicie, że Szlązacy używają, nie polskiej mowy, ale polskiego narzecza, *ein polnisches Platt.* I rzeczywiście, jak ów wspaniały język, w którym minister oświaty(?) państwa niemieckiego wygłasza swoje liberalne i chrześcijańskie teorye *(Gottes Furcht über alles!)* jest narzeczem, prawdziwej niemieckiej mowy, dolnoniemieckiego *Plattdeutsch*, przekręconego przez zniemczonych Słowian, tak mowa szląska jest rzeczywiście polskim *Plattem*, najczystszem pierwotnem wielkopolskiem narzeczem, jeśli odrzucimy nie bardzo zresztą częste niemieckie naleciałości. W Opolu mówią czyściej po polsku, niż w wielu innych polskich miastach, n. p. we Lwowie. Jeźli tego chciał dowieść pan Bosse, to mu się najzupełniej udało.

* * *

Warto się głębiej zastanowić.

W numerze 45. *Reformy* zamieszczona odprawa Bułgarskiej Polonii na protestację p. Woska, redaktora litewskich czasopism *Varpas* i *Ukinikas* w Ameryce, z powodu mordów w Krożach, która to protestacya tchnie najzupełniejszym litewsko-żmudzkim separatyzmem, a co gorsza, wielką niechęcią ku Polsce i Polakom. Zgadzamy się najzupełniej na główne punkta tej odprawy, wykazującej, że ten szkodliwy dla nas separatyzm podtrzymuje się głównie przez Moskali, na zasadzie *divide et impera* — ale czyż tylko Moskale winni? Umiemy na każdym kroku wygłaszać, że Polska składa się z narodowości od wieków swobodnie połączonych, jak *równi z równymi, wolni z wolnymi* — ale nie słychać jakoś o tem, by nasza inteligencya, używająca wszędzie przeważnie języka polskiego, starała się o pielęgnowanie mowy, obyczajów, odrębnych instytucyi tych *swobodnie* z nami połączonych ludów. Któż bada język litewski, któż założył litewskie stowarzyszenia i dzienniki? Niemcy w Prusach wschodnich. Czyż nasze polskie uniwersytety mają choć katedrę języka bratniego narodu, czyż nasza Akademia Umiejętności wydaje słowniki litewskie, litewskie elementarze, litewską biblię? To wszystko robią nasi wrogowie, a potem dziwimy się, że nowe litewskie pokolenie zostało wychowane w duchu nam przeciwnym! Prawda, że taka działalność jest nam pod zaborem rosyjskim najzupełnlej zabronioną — ale któż jej nam zabrania w tej *wolnej* Galicyi i Lodomeryi? Ale niestety, nie dbamy o własny nasz interes — i odrzuconą przez nas broń podejmuje odwieczny nieprzyjaciel na zgubę wspólnej Ojczyzny. — Dobrze nam tak!



SZTUKA.

Puccini i jego „Manon Lescaut.”

W ostatnich kilku dziesiątkach lat zapanowała cisza na polu muzyki w »boskiej Italii.« Słodkie melodye jej piewców, które niegdyś czarowały cały świat, ucichły, ustępując miejsca poważnej, uczonej muzyce niemieckiej. Jeden Verdi podtrzymywał sławę swego narodu, tworząc: »Aidę« i »Otella,« ale on był też jedynym, z którym świat się liczyć musiał.

Aż tu w najnowszych czasach zjawiło się kilka talentów, które światu przypomniały dawny blask i świetność włoskiej muzyki. Głowy to zapalone, młode, umysły bujne, pełne fantazyi i polotu. I znów świat zdumiony i oczarowany zarazem, zmuszony był zwrócić oczy na Italię, na tę młodą plejadę kompozytorów, którzy tworami swymi zalewali sceny i półki księgarskie. A liczba ich wcale pokaźna Mascagni, Leoncavallo, Puccini, Franchetti, Tasca, Coronaro, Cilea, Feroni, Giordano i wielu innych więcej lub mniej znanych.

Wśród tej plejady kompozytorów, zwanej obecnie: »młodą Italią«, Jakób Puccini jest jednym ze starszych, a co zatem idzie, talentem dojrzalszy od innych. Nie posiada on dramatyczego nerwu Mascagniego, filozoficznej głębi Leoncavalla, ani rafineryi Franchettiego w używaniu efektów, ale zato przewyższa innych swą poetyczną duszą i prawdziwem uczuciem. Jest on więcej lirykiem; owego »weryzmu«, który za godło obrali sobie kompozytorowie, do »młodej Italii« należący, znajdujemy w partycyach jego bardzo rzadkie ślady. Za przykładem innych używa on wprawdzie również bardzo chętnie

nagłych zwrotów, zmian tonacyi i taktu, dysharmonijnych akordów, ale z pośród tego chaosu wypływa najczęściej mniej lub więcej wyraźnie oryginalna, zajmująca melodya. Od spiewaka i orkiestry wymaga wiele; partye wokalne w jego utworach są bardzo trudne, wymagają obszernego i podatnego głosu. Na wzór Wagnerowskich »leitmotywów« używa on także stałych motywów, powtarzających się w ciągu opery, a przyznać trzeba, że posługuje się nimi umiejętniej, niż Mascagni lub nawet Leoncavallo.

O życiu Pucciniego nie wiele wiemy. Urodzony w roku 1858 w Luce, z rodziny bardzo muzykalnej, kształcił się w konserwatoryum medyolańskiem pod kierunkiem Ponchieli'ego, twórcy: »Giocondy.« Pierwsza opera jego: »Willidy«, odrzucona przez sąd konkursowy Sonzogna, wystawiona w roku 1884, zyskała niemałe powodzenie i zachęciła kompozytora do dalszej pracy. Wkrótce potem na deskach teatru: »La Scala« ukazał się »Edgar,« a 1. lutego 1893 w królewskim teatrze w turynie »Manon Lescaut.«

Sławna: »Histoire du chevalier Desgrieux et de Manon Lescaut,« wydana w roku 1733 przez Antoniego Prevost d' Exiles, mnicha, żołnierza i powieściopisarza zarazem, kilkakrotnie służyła za podstawę do libreta; w najnowszych czasach zaś posłużyła dwom kompozytorom do oper: Massenetowi i Pucciniemu.

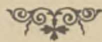
Każdy z nich pojął bohaterkę romansu Prevosta i miłość jej ku studentowi Desgrieux inaczej. Kompozytor francuski uważał ją snać za kaprys, lub chwilowy szał namiętności, ognisty włoch zaś pojął ją jako uczucie szczere, czyste, będące jednak wypływem bezgranicznej namiętności. Wobec tak odmiennego pojęcia jednego i tego samego tematu, inaczej musiało też wypaść muzykalne jego opracowanie. Muzyka Masseneta mimo całej elegancyi i znakomitego formalnego obrobienia jest wewnątrz zimną, konwencyonalną, utwór Pucciniego to ognista lawa burz sercowych i namiętności.

Czy jednak wybór tematu był dla opery szczęśliwym? Sądzę, że nie. Miłość młodego, niedoświadczonego mężczyzny ku kurtyzanie, poruszona po raz pierwszy w wyżej wspomnianym romansie, a później z całą subtelnością odmalowana w Dumasa »Damie kameliowej«, dla opery nie jest zbyt szczęśliwym tematem. Dla dramaturga wprawdzie, konflikty pomiędzy czystem uczuciem bohatera i bohaterki ku sobie a niezatartemi wspomnieniami i stosunkami z ubiegłego życia bohaterki mają wprawdzie wiele ponętnych stron, ale słuchaczowi opery zawsze będzie nieswojsko. Nie zdoła on nigdy oswoić się z myślą, że wchodzi tu w grę prawdziwe, niekłamane uczucie i mając zawsze na pamięci przeszłość bohaterki, uważać to będzie raczej za chwilowy kaprys, chwilową namiętność, lub coś podobnego i ze zdziwieniem lub ironicznym uśmiechem przysłuchiwać się się będzie słodkim tonom, którymi kompozytor maluje miłość tych dwojga kochanków. Ta kolizya między autorem a publicznością jest tu, zdaniem mojem, prawie nieuniknioną. Dlatego być może, że ze względu na publiczność lepiej pojął swe zadanie Massenet.

Nie możemy w braku miejsca wyliczać tu wszystkich piękności utworu Pucciniego. Wkrótce ujrzymy »Manon« na scenie teatru hr. Skarbka i wtedy może zabierzemy głos co do jej wykonania. Zaznaczymy tu tylko, że takie ustępy jak: duet w akcie pierwszym, scena balowa w drugim, przepiękne intermezzo między drugim a trzecim aktem i akt czwarty: scena śmierci na puszczy amerykańskiej mogą być ozdobą każdej opery i muszą na każdym wywrzeć potężne wrażenie i wywołać cześć dla znakomitego talentu kompozytora.

Operę tę dają we Włoszech z powodzeniem wciąż rosnącem; Niemcy usłyszeli ją już w Hamburgu, a wkrótce pozna ją także Warszawa.

Edm. Walter.



KORESPONDENCYA.

Moskalofilizm w Czechach.

(Ciąg dalszy).

XI. Prawdą jest, że czasopisma czeskie, a zwłaszcza *Narodni Listy*, milczą o ucisku w Rosyi, skutkiem czego ogół Czechów ma wiadomości o stosunkach rosyjskich niedostateczne i mylne. *Narodni Listy*, czerpiące swe wiadomości z urzędowych czasopism rosyjskich, jak: *Dniewnik Warszawski*, *Moskiewskie Wiedomosti*, *Nowoje Wremia*, — nie omieszkają nigdy powiadomić o tem, co się

dzieje dobrego w Rosyi, pomijają natomiast wszystko, co rzuca ciemne światło na »wielką rzeszę słowiańską.« Gorliwie spostrzega ów dziennik reformy, nie widząc reakcyi; zaznacza wszystko, co rząd dobrego robi, a nie napomknie nawet o tem, że groźne więzienia nie tylko nie ubywają, ale przeciwnie mnożą się, aby bizantyjskiej kaście urzędniczej przysporzyć więcej miejsc, opróżnionych przez tych, których się pozbywa »drogą administracyjną.«

Wszystko to dzieje się skutkiem taktyki, której motywa zaznaczyłem. Wskażę tu jeszcze dwa drastyczne przykłady.

Na Wołyniu znajduje się kilka tysięcy Czechów, mających swoje osady, w których posiadają czeskie szkoły i kościoły katolickie. Idea jednolitości jednak, charakteryzująca wewnętrzną politykę rosyjską, »wymogła,« aby się żywioł czeski »asymilował.« Z tej też przyczyny zruszczono Czechom wołyńskim ich szkoły, a *Narodni Listy*, które brzydzą się odszczepieństwem, wojując przeciwko germanizacyi, nie miały nic więcej do powiedzenia w tej sprawie, jak to, że na Wołyniu Czesi »przyjmują prawosławie.«

Kościoły nakazano przemienić na prawosławne, a czasopismo liberalne, uznając, że państwo i religia nie powinny nic mieć wspólnego, że kościół jest stowarzyszeniem prywatnem, że niemoralnem jest przymuszanie do zmiany wyznania, — mówi o przyjmowaniu prawosławia przez Czechów w Rosyi i nie oburza się wcale.

Smiesznem do pewnego stopnia stawało się twierdzenie *Narodnich Listów*, że w Rosyi nie ma głodu, w czasie gdy setki tysięcy ludu nie miało chleba, a tysiące marło. I to jedynie z tego powodu, aby Rosya nie wydała się słabą.

Często podobne wiadomości pojawiają się w prasie czeskiej i z tego powodu, że czerpane są z urzędowych czasopism rosyjskich, ale bywa nieraz, że są powtarzane podobne kłamstwa z umysłu.

XII. Z tego niewykonywania powinności dziennikarskiah wypływa nieznajomość Rosyi w szerokich warstwach. Naród widzi Rosyan w lepszem świetle i nie zna cierpień poddanych »batiuszki.«

Jednostki, które wiedzą, jaką jest koronowana samowola cara Wszech Rosyi, udzielają swoich wiadomości bądź to tylko ścisłym kółkom,! lub też milczą. Czesi zaś, mieszkający w Rosyi, chwalą pobyt i nie narzekają na nic.

Czechów znajduje się stosunkowo znaczna ilość w państwie rosyjskiem. Przeważnie są nauczycielami, muzykantami, inżynierami — wielu także zajmuje się przemysłem, a głównie piwowarstwem. Żyją w dobrobycie, a jako przybysze nie mieszają się do polityki, władze więc rosyjskie nie mają powodów uważać ich, jako »niebłagonadieżnych« — nie szykanują ich. — Powodzi się Czechom dobrze w państwie cara, wiadomości zatem, nadchodzące od nich do kraju rodzinnego, są pochwałą rządów rosyjskich.

XIII. Nic lepiej nie mogłoby wystawić Rosyi w prawdziwem świetle, jak dzieje narodu polskiego, narodu w obecnej chwili najbardziej uciskanego w Europie. Ale martyrologia Polski jest mało znaną w Czechach. Wiadomości z najnowszych dziejów polskich są niedostatecznemi z winy tendencyjnego wychowywania. W szkołach średnich nie mamy w Czechach nauczycieli, lecz urzędników austryjackich, a prasa, jak już nadmieniłem, milczy po największej części, literatura nie jest uzupełnianą w tym kierunku, — ani Mochnackiego, ani Smitta, ani Gillera, ani Mierosławskiego nie przełożono dotąd na język czeski. Nieznanymi są również liczne zapiski polskich patryotów, uczestników walk polskich. Dopiero w ostatnich czasach pojawiło się dzieło, które mogło narodowi czeskiemu dać obraz cierpień narodów słowiańskich, zostających pod berłem Romanowiczów — mam na myśli przekład dzieł Kennana o Sybirze. Niejednego wprawdzie, nie mającego dotychczas wyobrażenia o stanie rzeczy, przeszły ciarki, lecz jak zachowała się prasa?

Narodni Listy zaznaczyły wydanie przekładu, — ale wkrótce potem starały się osłabić wywody bezstronnego Kennana recenzyą o dziele jakiegoś profesora berlińskiego, twierdzącego, że w dziele anglika jest wiele omyłek, że Kennan w każdym zwykłym złoczyńcy widzi tyranizowanego myśliciela, krępowanego polityka.

Tym sposobem z winy prasy Czesi nie znają właściwego postępowania rządu i władz rosyjskich i mają pochlebniejsze o nim wyobrażenie, aniżeli on na to zasługuje.

Tylko trzy głównie czasopisma pokusiły się o naprawienie tego błędu prasy. *Czas*, pismo tygodniowe, które ogłosiło artykuł

wyszły z pod pióra Massaryka, o smutnem położeniu Polaków w Rosyi, — oprócz tego organu partyi postępowej, zwłaszcza *Czasopismo czeskich studentów* przez cały czas swego istnienia od roku 1889 i *Niezawisłość* od początku roku 1893, starały się naprawić to, co taktyka *Narodnich Listów* popsuła.

Czasopisma te jednak, z których pierwsze było dwutygodnikiem a drugie tygodnikiem, zawiesiła władza w dniu ogłoszenia w Pradze stanu oblężenia.

XIV. A z tej nieznajomości historyi i stosunków polskich wypływają niektóre znamiona, niewiele lub prawie nic nie znaczące u nas, będące często wymysłami chwilowemi, którym jednak w Polsce a zwłaszcza w polskich czasopismach wielkie znaczenie przypisują. Są to objawy »moskalofilskie,« które bardzo niemile uderzały Polaków podczas wystawy w Pradze w roku 1891.

Objawy te, po pierwsze, nie są pochwaleniem czynów despotyzmu, po drugie, nie są antipolskimi, przeciwnie po największej części są obliczonymi jako demonstracya celem straszenia Niemców, których czasopisma zawsze z gniewem a zarazem i ze strachem rozpisują się o tem. (Tak n. p. na pewnem zebraniu towarzyskiem damy podawały do herbaty ciastka w kształcie cyrylickich liter, a Niemcy wołali o panslawizmie znamionującym zdradę stanu). Oprócz tego demonstruje się też przeciwko policyi, która to zakazuje i ściga. Przytoczę przykłady.

Na wystawie pojawiło się kilku Rosyan, nie mających nic wspólnego z oficyalną Rosyą. Białe czapki raziły jednak policyę praską, uwięziła ich, rozkazując opuścić granice państwa austryackiego; to było powodem rozgoryczenia i demonstracyi.

Coś podobnego zdarzyło się z profesorem Petrowem, który przyjechał z Rosyi na wystawę i zagrał na organach wystawionych w pałacu przemysłowym przez swego brata, melodyę hymnu rosyjskiego.

Śpiewanie *„Bože carja chrani,“* o czem ze strony Polaków czyni się tyle cierpkich wspomnień, nie ma najmniejszego znaczenia, gdyż jest to tylko odporem, »trucem« przeciwko policyi, która zakazuje ów hymn, podobnie jak marsyliankę.

W Czechach atoli, gdzie władze wiedeńskie zakazują wszystko, co dla narodu jest dobrem i pobudzającem, staje się zakaz znakiem, który często wystarczy, aby uważano za dobre to, co się zakazuje. Objawia się w tem część psychologii ludu.

Demonstracyi tych nie urządza jednak nigdy lud, ani też stronnictwo młodoczeskie, tylko garstka ludzi, a czasami jednostki, rozgoryczone na postępowanie organów rządowych; intonują hymn rosyjski, nie znając więcej nad trzy początkowe słowa. Melodya jednak, będąc rzeczywiście piękną, podoba się.

Dnia 17. października 1891 r. urządzała *„Slavia“*, główne stowarzyszenie studentów, wieczorek powitalny w sali Zofii. — Chór spiewał hymn »Z dymem pożarów,« który wszystkich przejął, tylko obecny niejaki profesor, Rosyanin czuł się dotkniętym a wraz z nim pewien redaktor bliski *Narodnim Listom*. Tenże wypowiedział swe zdanie w *Podvysockich Listach*, dwutygodniku wychodzącym w Kutnej Horze; *Czasopismo czeskich studentów* jednak odpowiedziało mu, że raczej nam należy spiewać polską pieśń rewolucyjną, aniżeli absolutystyczny hymn cara.

Z tego wszystkiego nie wynika jednak jeszcze, aby w Czechach istniała tęsknota do władzy rosyjskiej i zruszczenia.

Jeżeli Julian Gregr wypowiedział kiedyś, że »gdybyśmy, będąc zgnębionymi, znikli jako Czesi, chcemy żyć dalej jako Słowianie« — (co tłumaczono, jako »Rosyanie«). Wypowiedział to zaiste w tem silnem przekonaniu, że nie jest możebnem, abyśmy zaginęli. A tę wiarę on posiada, jak każdy prawy Czech, jak wszyscy Młodoczesi, on nawet w większym stopniu, aniżeli kto inny, on bowiem jest jednym z pierwszych, ktorym należy się zasługa wzmocnienia świadomości własnej i wiary we własne siły w walce podwójnej, — z Niemcami i żywiołami wstecznymi.

Słowianofilstwo, owe szkoły moskiewskie Danilewskiego i Aksakowa, głoszące jedność w zruszczeniu i w prawosławiu, nie mają żadnych zwolenników pomiędzy Czechami. Czesi okazali swemi dziejami, że nadewszystko kochają swoją mowę, aby się mogli jej wyrzec, choćby to było za cenę jakąkolwiek.

W to, żeby państwo rosyjskie miało nam kiedykolwiek udzielić pomocy w naszej walce, nie wierzy nikt, a jeżeli przypadkiem kto o tem mówi, czyni to z przyczyn, które już wyjaśniłem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z teatrów wiedeńskich.

W Wiedniu nie robi się literatury; oddawna i handel księgarski, i scena i czasopisma literackie zajęły tu stanowisko bierne. Spożywa się tylko, co z tamtej strony czarno-żółtych palów sezon porodzi. Dzisiejsi pisarze trwonią talent na drobne nowele, lub dydaktyczne powieści (np. baronowa Suttner), albo, co gorsza, piszą farse lokalne, których żywot mierzy się zręcznością dekoratora, wdziękami baletniczki i zdolnością wkładania kupletów ulubionego komika. Teatr Karla przez cały sezon dawał swoim widzom takie utwory dekoracyjne.

Baśń sceniczna wchodzi w modę. Poczuł to i realista Hauptmann i napisał jeden z najpiękniejszych utworów, jakie literatura niemiecka wydała w ciągu lat ostatnich: »Hanusię«.

»Hanusia« jest to misterium sceniczne w rodzaju dzieł wystawianych od kilku lat w Paryżu już to w teatrze pantomin (Galerie Vivienne), już to w »théatre libre«. Wiadomo, że Richepin, osławiony śpiewak »Chansons des guex« dramatyzował historye i legendy biblijne, Armand Silvestre napisał bardzo czułą historyę cnotliwej kasztelanki »Griseldis« z aniołami i szatanem, Sarah Bernhardt w białej szacie zakonnicy z przepaską ciemną i w zasłonach pokutniczego stroju występowała na scenie.

Wyczerpał się kierunek, odtwarzający bezlitośnie życie codzienne; nowych, głębszych nam potrzeba wrażeń, sięgnąć chcemy po za granice świata, wniknąć w istotę rzeczy, odgadnąć zagadkę bytu. Po materyalistycznych systemach filozofii przyszedł nowy mistycyzm, idealizm i spirytyzm; po naturalizmie — neoromantyzm i symbolizm. Wielcy artyści nie należą do kierunków żadnych, pokonują wszystkie, i wszystkie od nich wywodzić można.

Gerhart Hauptmann stara się o tę syntezę prawdy bezlitośnej i tęsknot dręczących nas, a jako pierwsza próba w tym kierunku »Hanusia« jest pięknem dziełem, choć znać w niem jeszcze ślady systemu, roboty, układania, choć nie robi tego wielkiego wrażenia, jakby odłam żywej natury.

Hanusia jest dzieckiem nieślubnem; przed kilku miesiącami zmarła jej matka, jedyna na ziemi istota, która ją kochała i szczere słowa litości i współczucia miała dla niej. Ojczym katuje ją, dręczy pracą nadmierną i przymierać jej daje z głodu — aż w rozpaczy biedna 14-letnia dziewczyna rzuca się do wody. Ratuje ją jednak nauczyciel szkoły ludowej Gottwald, którego dziecko kocha uczuciem budzącej się kobiety. . i zanosi ją do domu ubogich.

Tu w towarzystwie nędzarzy, opilców, żebraków, spierających się o kość i kromkę chleba, a odmalowanych drastycznie w pierwszych scenach, Hanusia trawiona gorączką zasypia na łożu szpitalnem, ma sen o wszystkich cudownościach raju i umiera. Bardzo pięknem jest stopniowe uspakajanie się chorej dziewczyny, która zrazu boi się jeszcze prześladowań ojca, zrywa się w gorączce z łóżka, aby przed nim uciekać, potem ma widzenie matki, pocieszającej ją i zwiastującej koniec cierpień i śmierć, wreszcie śni o tej śmierci i raju. W śnie zdaje jej się, że ubierają ją na pogrzeb w białe suknie, i kładą ją do szklanej trumienki, że przychodzą dzieci i ludzie ze wsi, aby się z nią pożegnać, że zjawia się i ojczym, ale wyklęty przez ciżbę jako »morderca« ucieka i wiesza się pod gałęzią jak Judasz. Jasność otacza ją i chór aniołów słychać w dali. Zjawia się zbawiciel w postaci Gottwalda i gdy Hanusia korzy się przed nim i woła: »Jam niegodna... niegodna, o święty, ukochany«... — odpowiada: »Łzą mego oka wymyję pył twego serca«!

Aniołowie zlatują i unoszą Hanusię ku niebu; ściemnia się, chór cichnie i znowu widać biedne nędzne łóżko szpitalne, siostrę miłosierdzia i lekarza, pochylonych nad Hanusią. »I cóż?« — »Umarła« — mówi lekarz smutno, odejmując stetoskop od piersi nędzarki.

Hauptmann chce litość obudzić, litość dla tych mas, których jedynem szczęściem na ziemi jest sen w gorączce wśród szpitalnej nędzy, nie wystrzega się przeto nagromadzenia kontrastów dla efektu. Jako liryczny poemat pełen przepięknych motywów dzieło to zdobyć sobie jednak musi uznanie. Scenicznym utworem w ścisłem tego słowa znaczeniu »Hanusia« nie jest. W małym swym rozmiarze dzięki oryginalności pomysłu i piękności dekoracyi, dzięki szczeremu uczuciu i nastrojowi utrzymanemu zręcznie przez cały czas snu zająć potrafi i długo jeszcze zajmować będzie.

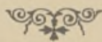
Gdyby jednak autor chciał metodę tę samą stosować do dzieł większych, minąćby się musiał z głównem zadaniem sceny przedstawiania postaci ścierających się w swej namiętności i dążących do jasno zakreślonych celów. Chorują też wszystkie poprzednie dramaty Hauptmanna na tę słabość — i mimo znakomitej charakterystyki i podziwienia godnej delikatności nastrojów nigdzie dotychczas zdobyć sobie nie mogły trwalszego powodzenia.

Tem więcej za to akcyi, efektów czysto scenicznych posiada Suderman. Jego ostatni dramat »Gniazdo rodzinne« jest na wskróś fałszywem i kłamliwem — w treści, w charakterach, w tendencyi — dziełem. Ale jest w niem wiele namiętności (choć podrobionej) i to wystarczy, aby tłum zapełniał szczelnie od dni kilkunastu teatr Raimunda.

Utwór nie wart rozbioru. Jakaś Magda, emancypantka, jedna z kobiet o szerokiej naturze, którym w domu za ciasno, bo się im śnią korony, oklaski, wieńce i brylanty à tout prix, zdobywszy po zerwaniu z rodziną rozgłos pierwszorzędnej komedyantki — wraca do domu, aby trochę spocząć, napotyka naturalnie »mieszczańskie«, głupie w jej zrozumieniu otoczenie, starego ojca, który ją zmusić chce do wyjścia za swego uwodziciela, »pierwszego« zabójcę jej nie bardzo żelaznej cnoty.

Gdy jednak ten nikczemnik dziecka swego uznać nie chce i nie rozczula się na żargon włosko-niemiecki Magdy — oburzona tym razem słusznie komedyantka, która jeszcze nie przestała być matką, oświadcza ojcu, że żadną miarą ręki nie odda temu człowiekowi i »że nie jego jednego kochała«. Ojciec chce (dosłownie) — zastrzelić córkę, gdy jednak organu zacnej śpiewaczki, która »tylu kochała«, żal bardzo autorowi, przeto każe chorowitemu jej ojcu runąć wskutek apopleksyi. I to się nazywa poezyą!

Henryk Monat.



ROZMAITOŚCI.

Nieznany wiersz Syrokomli.

Od p. Fr. Rawity-Gawrońskiego otrzymaliśmy następujący wierszyk Ludwika Kondratowicza (Syrokomli).

Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz bramie nad Litwinów głowy;
Owdzie nasza królowa, owdzie nasza księżna,
Hetmań Polsce, — my Twoja drużyna zaciężna.
Połącz serca dwóch krajów, niech za wspólnem [zlaniem
Rycerzami Twoimi, jak niegdyś zostaniem,
Pobłogosław koronne i litewskie miasta,
Niech pod Twoją obroną nasza dziatwa wzrasta,
Niech w jej głowach myśl święta ustawicznie [świeci,
Że są Twoi poddani jednej Polski dzieci.

Podpis własn. *Ludwik Kondratowicz.*

Wiersz ten napisany został około r. 1862, na odwrotnej stronie obrazku Matki Bokiej Częstochowskiej, znajdującego się w ręku córki ś. p. J. Chęcińskiego, poety i komedjo-pisarza, Matyldy z Chęcińskich Romanowicz Bostrzenowej, córki chrzestnej Syrokomli.

Z Królestwa. Nowy klasztor prawosławny utworzony został na gruntach kościoła katolickiego. *Praw. Wiestnik* donosi o tem: Św. Synod decyzyą z d. 24. stycznia i 1. lutego 1894 r. postanowił przy osadzie Sopoćkinie, w uroczyszczu Teolin, w gubernii suwalskiej, urządzić klasztor żeński pod nazwą »teolińskiego klasztoru żeńskiego Przemienienia Pańskiego«, z oddaniem mu wszystkich budynków, gruntu i dobytku, które należały do kościoła teolińskiego i które przeszły na własność duchowieństwa prawosławnego z mocy najwyższego rozkazu z daty 20. marca 1890 r. — Należy przypomnieć, że w tej południowo-wschodniej części gub. suwalskiej mieszkają unici. — *W Płocku* od przyszłego roku szk. powstaje internat rządowy przy gimnazyum i 3 stancye pod kontrolą władzy. Jedynie tam uczniowie, nie mający rodziców w mieście, będą mogli mieszkać. — *Hurko* otrzymał urlop nieograniczony; zastępuje go jen. Medem. Jako następcę Hurki wymieniają jen. Obruczewa, naczelnika sztabu całej armi rosyjskiej.

Z Litwy. Klingenberg, gubernator kowieński, sprawca rzezi w Krożach, w ubiegłym tygodniu miał audyencyę u cara. A więc nie tylko, że nie dostał dymisyi, ale dostąpił łaski carskiej.

„Szkoła ludowa“. Koło męskie we Lwowie urządziło 25. z. m. ogólne zebranie, na które przybyło do 100 członków. Prezesem obrano T. Romanowicza ponownie, oraz wybrano 12 delegatów na zjazd. Zapadła uchwała, aby na zjeździe postawiono projekt przeznaczania $^3/_4$ z funduszów nadzwyczajnych na wydatki bieżące a dodawania tylko $^1/_4$ do kapitału żelaznego.

Teatr ludowy. Dnia 24. z. m. w sali ratuszowej odbyło się pierwsze walne zgromadzenie członków Tow. teatru ludowego. Przewodniczącym Tow. wybrano posła hr. W. Dzieduszyckiego, zastępcami D-ra R. Kulczyckiego i panią Maryę Łomnicką.

Koło literacko-artystyczne rozesłało przeszło 2.000 zaproszeń na zjazd dziennikarzy i literatów, odbyć się mający podczas tegorocznej wystawy we Lwowie.

Tow. oświaty ludowej nowych bibliotek w r. p. założyło 25, a 59 dawniejszych powiększyło o 4.900 dziełek. Nowe biblioteczki założono głównie we wschodnich powiatach Galicyi. Sekcya odczytowa lwowska urządziła 7 odczytów i wieczór muzykalno-deklamacyjny. Czytelń wogóle, tak w miastach jak i na prowincyi, posiada tow. 257. W czytelniach tych i wypożyczalniach ogólna suma dziełek wynosiła 37.543 w 38.844 tomach. Nadto dla każdej z czytelń miejskich prenumerowano czasopisma illustrowane, a dla biblioteczek wiejskich pisma: *Chata*, *Nowiny*, *Niedziela* i *Gospodarz*. Ogólny przychód (wraz z subwencyą) wynosił w roku ubiegłym 2.506 zł. i 32 ct., zaś rozchód 2.378 zł. i 13 ct. Na walnem zgromadzeniu tow. które się odbyło 4 b. m., prezesem został wybrany ponownie dr. Aleks. Hirschberg.

Sokół ruski powstał we Lwowie. Prezesem wybrano p. Nahirnego. Poruszono myśl zorganizowania Sokołów po wsiach i utworzenia orkiestry Sokolej.

Na Dom Akademicki w Krakowie zapowiedziano 6 odczytów. Pierwszy przemawiał profesor Cybulski» O spirytyzmie i hypnotyzmie« (z demonstracyami).

Medaljon z popiersiem Kościuszki, według portretu Lampiego, zostanie wmurowanym nad tablicą pamiątkową, umieszczoną na kamienicy Siedleckich w Rynku Krakowskim. W kamienicy tej mieszkał Kościuszko przez czas pewien w zeszłem stuleciu.

Odczyty. Krak. Tow. »Oświaty ludowej« urządza szereg popularnych, bezpłatnych odczytów. Między innymi prof. J. Miklaszewski miał dwa wykłady p. t. »O powstaniu Kościuszkowskiem.« — Za staraniem krak. Koła pań Tow. »Szkoły ludowej« odbył się odczyt 3-ci. P. dr. Trzaskowski mówił »O powstaniu i rozwoju pisma (z obrazowem przedstawieniem).

Konfiskaty. Ostatni numer *Dzwonu*, oraz *Wieńca* i *Pszczółki*, pism wydawanych przez ks. Stojałowskiego w Cieszynie, policja krakowska skonfiskowała.

Nr. 5 *Naprzodu* uległ konfiskacie.

Nr. 4 *Satyra* skonfiskowano za artykuł »Źle się dzieje w starym Dahomeju«.

W redakcyi *Naprzodu* 27. z. m. policja zrobiła rewizję i uwięziła odpowiedzialnego red. p. Regera.

W Krakowie 28. z. m. przedstawiono po raz pierwszy komedję Marca Praga p. t. »Dziewice«, 3. marca — komedję Jordana »Myszy bez kota«.

Gimnazya. Prezydent Friedlein oświadczył, że rząd postanowił własnym kosztem wybudować gmachy gimnazyalne i nabyć grunta pod nie od miasta.

Na założenie teatru rozmaitości w Pradze recenzent teatralny *Hlasu Naroda* F. Ruth ofiarował 100.000 złr.

Antoni Hajn, skazany w procesie »Omdlaniny«, został ponadto w z. tygodniu po przeprowadzonym procesie prasowym, jako odpowiedzialny redaktor *Neodwislosti*, skazany za obrazę majestatu na 14 dni aresztu, obostrzonego dwoma dniami postu, i utratę 200 złr. z kaucyi pisma.

W Lublanie w nocy 5. b. m. zamazano orły na wielu gmachach publicznych.

Międzynarodowa wystawa księgarska, drukarska, fabrykacyi papieru i wszystkich pokrewnych z tem gałęzi przemysłu odbędzie się w Paryżu w terminie od 23. lipca do 23. listopada r. b. pod protektoratem ministerstwa handlu, oświaty i robót publicznych, tudzież związku księgarzy. Termin zgłaszania się dla zagranicznych wystawców upływa z końcem kwietnia b. r.

Wybory w Nowej Zelandji. Nowa Zelandja jest pierwszym krajem, w którym przyznano kobietom prawo do głosowania przy wyborach do parlamentu. Do przeprowadzenia tego prawa przyczynili się głównie zwolennicy wstrzemięźliwości, oraz zachowawcy. Pierwsi widzieli, że kobiety są naturalnemi nieprzyjaciółmi szynków; drudzy zaś liczyli, że przyzwyczajone do rachunków, wprowadzą większy ład do finansów kraju. Ostatnie wybory, już ze współudziałem wyborczyń, odbywały się pomimo tego nowatorstwa, wbrew ogólnemu oczekiwaniu, wcale spokojnie. W miejscowości Onehugu pewna kobieta, mianowicie pani Jates, wybrana została burmistrzem.

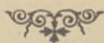
Zasada, w imię której kobiety dawały głos, jest następująca: »Chcą takiej Izby, która na wyspie nie pozwoliłaby istnieć ani jednemu szynkowi!« Kandydaci chcący pozyskać głosy wyborczyń, musieli składać zobowiązania w tym kierunku. Najlepszy to dowód, że pojęły one swój interes i że przyczynić się mogą znacznie do podniesienia moralnego poziomu społeczeństwa.

Nekrologia. Zmarli: w Krakowie dr. *Józef Łepkowski*, prof. wszech. Jagiel., znany archeolog, twórca gabinetu archeolog. przy uniw., restaurator grobów królewskich na Wawelu. Żył lat 68. — We Lwowie — *Oktaw Pietruski*, były członek Wydziału krajowego, poseł na Sejm z okręgu stryjskiego. — W Warszawie — dr. *Władysław Olendzki*, publicysta, redaktor *Kur. Codziennego*. — W Poznaniu — *Władysław Motty*, literat, współpracownik *Dz. Poznańskiego*, oraz znakomity rysownik. Żył lat 43.

W Budziszynie dnia 22. lutego zakończył nagle żywot, pełen zasług, ks. *Michał Hórnik*, przywódca Serbów łużyckich, prezes »Macierzy serbskiej«. Urodził się w Worklecach na Łużycach r. 1833; po skończeniu uniw. w Pradze i otrzymaniu święceń kapłańskich osiadł w Budziszynie i oddał się całkowicie pracy nad odrodzeniem swego narodu, co wydało znakomite owoce a imię jego postawiło obok takich ludzi, jak Palacki. Pracując nad filologią i folklorystyką słowiańską zasłynął jako znakomity uczony. Cześć wielkiemu patryocie i niezmordowanemu działaczowi!

W Zagrzebiu zmarł ks. *Franciszek Raczki*, prezes akademii umiejętności w Zagrzebiu, przywódca opozycyi narodowej w Chorwacyi. — We wsi Wiśle — *Bogumił Hof*, literat i etnograf szląski, współpracownik »Wędrowca«, »Kurjera Codziennego« i »Wisły«, autor dzieła: »Wisła i Wiślanie«.

Atanazy Benoc, ostatnio prezes Koła polskiego w Wiedniu, długoletni poseł do parlamentu wiedeńskiego, człowiek szanowany powszechnie dla prawości charakteru. Zmarły brał udział w ruchach narodowych r. 46 i 63.



BIBLIOGRAFIA.

Sprawa sporu granicznego przy Morskiem Oku, wywód historyczno-prawny z 5. kartami napisał z polecenia Wydziału krajowego *Dr. Aleksander Czołowski*. Lwów, nakładem Wydziału krajowego 1894 r. Treść ciekawej tej książki jest: I. Teren sporny. II. Stosunki pograniczne i granica Polski od Spiża przed rokiem 1769. III. Geneza sporu. IV. Historja sporu. V. Prawne dowody Galicji. Dodatki. — Wydanie jest piękne, ozdobne. Książka wymaga dłuższego rozbioru z powodu choćby tylko drażliwości i ważności omawianej w niej sprawy. Dla tego też z powodu braku miejsca odkładamy bliższe zaznajomienie z nią czytelników naszych na później. Na razie zauważamy tylko, że na 5 map są: jedna plastyczna, druga geograficzna, a trzy z przeszłości niemieckie. To znaczy pewnie, że dotąd mało jest uprawiana u nas nauka geograficzna o ziemi naszej. Nie uprawianą istotnie prawie wcale ona była wtedy, kiedy mieliśmy własne państwo, ani też w wielkiej pracy naszej, budującej z przeszkodami od 100 lat to co nam zburzono, nie mieliśmy możności czy też nie uznawaliśmy za stosowne, rozpocząć jakiekolwiek działanie zbiorowe i specjalne w tym kierunku. Najniezawodniej w dziedzinie geograficznej p. Czołowski musiał się opierać na dziełach obcych, które nie mogły być stronnemi na naszą korzyść ani też wyczerpującemi. Znajdujemy, że geografia ziem polskich tak przeszłości jak teraźniejszości jest przedmiotem ważnym i mogącym zapalić młodych naszych uczonych. Do takiego stworzenia rzeczy nieistniejącej mogłoby się w jakiś sposób może przyczynić Towarzystwo Handlowo - Geograficzne obecnie we Lwowie zawiązujące się.

Materjały do dziejów życia i języka ludności północno - zachodniego kraju, zebrane przez Steina, wyszły z druku w Petersburgu. Bogaty ten zbiór materjału etnograficznego, dotyczący Białorusi, zawarty w wielkim tomie o 715 str.

Podręcznik księgarski. Przewodnik praktyczny dla wydawców, księgarzy, pomocników i praktykantów księgarskich, na podstawie swojskich i obcych źródeł opracowany — zaczął wychodzić zeszytami pod red. i nakładem T Paprockiego, księgarza w Warszawie.

Wieniec wspomnień o Kościuszce, zebrany przez redakcję *Kościuszki* — wyszedł nakładem J. Gadowskiego. Wydanie zdobi rycina: »Bitwa Racławicka« Casanowy, której oryginał przechowuje Muzeum Narodowe w Rapperswylu.

„**Wiadomości statystyczne** o mieście Lwowie« — zebrał i opracował Dr. K. Ostaszewski-Barański, kierownik miejskiego biura statystycznego. Tom IV. Lwów, 1894.

Tom powyższy zawiera treść następującą: Stosunki mieszkalne w większych miastach; porównanie stosunków mieszkalnych we Lwowie w latach 1880—1890; stosunki mieszkalne w pięciu dzielnicach miasta; stosunki mieszkalne w większych ulicach miasta; czynsze i ich wzrost; ruch budowlany w roku 1891 i 1892, obrót tabuli miejskiej, ceny robót i materjałów budowlanych; policja og[illegible]iowa

La malaise de l'Europe. Broszura wyszła w Genewie u Stapelmora a napisana przez *Homme d'Etat*, skreślająca dodatnie stosunki polityczne w Europie w obecnym momencie i wskazująca jako lekarstwo obezwładnienie Rosyi.

Offenas. Sendschreiben an den Fürsten Bismarck von einem Polen. Broszura wyszła w Zurychu. Wskazuje ona polityczne błędy Bismarka w ogóle, a w szczególności w obec Polaków. Broszura ta wyszła, jak się zdaje, z pod pióra Zyg. Kaczkowskiego.

Byron i jego wiek. Studya porównawczoliterackie przez M. Zdziechowskiego. Kraków, 1894 r. Tom I. Tytuły rozdziałów: Zwiastuny bajronizmu. Byron. Shelley. Lamartine. Bajronizm francuski. Bajronizm niemiecki. Leopardi. Nirwana.

„**Związek chłopski**", dwutygodnik, organ towarzystwa politycznego tej samej nazwy zaczął wydawać w Nowym Sączu poseł p. St. Potoczek. Jako redaktor podpisuje pismo p. Gutowski.

Nr. 5. „Przegl. Emigracyjnego" zawiera bardzo ciekawe wiadomości z Brazylii w artykule wstępnym p. t. »Polacy w rewolucyi brazylijskiej«, dalej następują artykuły: »Rusini w Ameryce« (o Kozakach-Aleutach na wyspie Alasce), »Polacy i Litwini«, Polska na wychodźtwie: 1. Odezwa Wydz. wyk. Zw. Wychodźtwa pol. 2. Z Buenos-Ayres 3. Polskie tow. demokratyczne w Buenos-Ayres. Dopełniają numer »Rozmaitości« i »Odezwa w sprawie polskich książek dla wychodźców«.



Odpowiedzi od Redakcyi.

WP. *Wanda S.* w Krakowie. Prosimy o adres celem porozumienia się listownego.

WP. *Bruno Rogalski* w Dobczycach. Za życzliwe uwagi dziękujemy. Staramy się unikać osobistych wycieczek.

P. *A. K.* Lwów. Artykuł »kilka uwag« nie może być umieszczony. Jeżeli Pan ma ochotę, prosimy o zwięzlejszy i zasadniczy.

WP. *Marya Czerwińska* w Krakowie. Serdecznie dziękujemy. Bliżej listownie.

B. Lwów. Artykulik »Dziecinne zuchwalstwo« *Przyszłości* nie nadaje się do druku.

Od Administracyi. WP. Karol Stopiński, Leopold Konopacki, Stanisław Demciczak, Tadeusz Dybowski i Tadeusz Noel. Potwierdzamy odbiór kwot po 1 zł. 10 ct., jako przedpłaty na dzieło »Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość«.



WESOŁY KĄT.

Wojtusiowi!

Zbudowałeś nas srodze swymi artykuły
W »Listach o Sejmie«, Luby! Wołam: »Wojtek górą!«
Bo z cierpliwości wszelkich, największa *bibuły*,
A z redaktorów — jeden największą jest ciurą.

Podziwiam zwłaszcza Twoje subtelne wywody
O nowym komitecie wyborczym, krajowym —
Przeszedłeś w nich sam siebie. Klękajcie narody!
W kąt Machiavell przy onym sofizmie — Wojtkowym.

B.

Otwarte oczy.

My do zgody nawołujem
»Naszą brać« — Rusinów,
Gdy ich wzrok wciąż jest zwrócony
W stronę *chrestów*, *czynów*.

My smarujem ich wciąż miodem,
Oni w odwet cuchną
Dziegciem — juchtem — bumażkami,
Aż nam nosy puchną.

Dajmyż więc już pokój święty
Tej *zgodzie cuchnącej*;
Dla nich, dla się sił szukajmy
W woni mniej pachnącej.

Świeży dowód: zachowanie
»Braci naszych« w Sejmie,
Z których hańby bratobójstwa
Pono nikt nie zdejmie.

To też choć nas katar męczy,
Chustki nasze moczy,
Nie przeszkadza, byśmy mieli
Wciąż otwarte oczy!

As.

Z placu targowego.

Bal; wśród światła powodzi, wśród wonnej topieli
Kwiatów wre życie... życie?!? nie!... szał uciech wściekły!
Tłumy kobiet uroczych, co się przyoblekły
W szat kolory, wydarte chyba z tęcz gardzieli.

Zgraja mężczyzn, co szepty między nimfy dzieli,
Budząc w liczkach rumieniec pożądaniem spiekły,
I sala, z której tlenu drobiny uciekły...
Oto raj, skąd przyleciał anioł do mej celi!...

...Przedstawiono mnie pannie... tańczyłem z nią walce,
Polki, potem kadryla, gdzie bliższe poznanie
Nastąpiło i... uścisk; potem w małej salce
Spoczynek z grą słów pustych, no... i... zakochanie;
Więc projekt bliższych zachceń, ważony na szalce
Konwenansu i... zgoda...
...Dziś... piekieł otchłanie!!

Michał W.

Maniaki.

Pisano przecież bardzo wiele
O sławnym naszym Kulparkowie,
Że kto tam wejdzie zdrów na ciele,
Postradać musi wkrótce zdrowie. .

Ja śmiem wystąpić z zdaniem nowem:
Słuchajcie a przyznacie sami,
Że kraj nasz cały Kulparkowem —
A większość ludzi maniakami.

Niektórzy, rzecz to smutna przecie,
Z maniactwem śmiesznem już się rodzą;
No — i są gorsi, bo po świecie
Bezpiecznie sobie — wolno chodzą.

Rymarzem dobrym jest pan Grzegorz,
Lecz w nim poselstwa chętka gości:
Czego się miota tak? ach czegoż?
Trapi szaleństwo go *„wielkości“*.

Auskultant sądu pan Hilary,
Choć go wyróżnia głowa owcza,
Mawia: »Sekują mnie bez miary« —
Trapi go mania *„prześladowcza“*.

Lub panna Julia, choć nie młoda,
Używa szminek całej seryi,
Myśli, że to uroku doda;
Widoczna mania *„kokieteryi“*.

A pan Walenty, choć prostaczek,
Ku sztukom pięknym rad się skłania,
Więc go otacza rój spiewaczek;
Ha! trapi go *„teatromania“*.

Barczysty Józio, jak lew zdrowy,
Na jakieś bóle ciągle jęczy,
Kompresy nosi wkoło głowy;
To *„hipochondrya“* tak go męczy.

Pobożna bardzo jest hrabina,
W kościołach wzdycha — do wieczności,
O mężu, dzieciach zapomina,
Cierpi na manię *„pobożności“*.

Wreszcie poeta — zdolny wcale,
Koniecznie świat chce widzieć mglisto,
Dawniej pisywał doskonale,
Nagle się zrobił *„symbolistą“*,

I gdy napisze jakie dzieło,
Co buja w różnych duchów tłumie,
Nim je kto czytał, wnet w łeb wzięło, —
Bo go sam autor nie rozumie.

Marnieje zwykle talent taki
Z nadmiaru oryginalności,
Z Parnasu schodzi na — duraki,
Zabija mania go *„nowości“*.

Niepodobieństwo jest formalne,
By człek wyliczyć dziś był w stanie
Manie tak zwane *„radykalne“*
I *„katolickie“* groźne manie.

Zboczenia różne *„tytułowe“*,
Szaleństwa te *„spirytystyczne“*,
Manie *„Wincento á Paulowe“*,
I głupie manie *„artystyczne“*.

Nareszcie bziki *„urzędnicze“*,
Co jak choroby trapią morskie,
Manie *„dzienniko-wydawnicze“*
I częste manie *„redaktorskie“*.

Czyż rzec nie można jednem słowem,
Że mania gości między nami;
Że kraj jest istnym Kulparkowem —
A większość ludzi *„maniakami“*?

Szpon.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Tadeusz Dwernicki.**